

ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom dwudziesty ósmy.



CZERCZA MOGIŁA

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. L. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane i poprawione przez Autora.

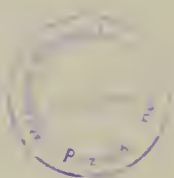
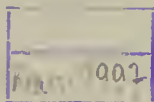
L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l. 10.

1872.

W A R S Z A W A.

W księgarni Michała Glücksberga.



120,

Nakładem Rogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

1979 J 280

Powieść o Czerczej Mogile osnułem na opowiadaniu ojca mego, który zastępując Podkomorzego, czy sprawując jeden z obywatelskich urzędów, w których całe życie strawił, powołanym był do asystowania rozkopaniu kopca; a ten okazał się w istocie nie granicznym ale mogiłą. Uczyniło to na nim wielkie wrażenie, bo pełen uczucia religijnego, gorszył się tem naruszeniem pokoju umarłych, dla sprawy małej wagi. Przypominam sobie, iż mi mówił, jak wszyscy komisarze tej sprawy, nazajutrz złożwszy się, uroczyste za duszę nieboszczyka odprawili nabożeństwo. Wspomnienie okolic znanych, kraju w którym część życia przebyłem, związały się z tem pierwszym. Owych bojów o granice byłem sam w młodości świadkiem u nas w Dołhem, gdy przychodziło do koszenia spornej łąki między Sielecczyczną Sapieżyńską a naszą wioską. Później ojciec ułożył się z ordynatem Zamojskim, który Sielce wziął po żonie Sapieżance z domu, o tę dyferencję, ustępując znaczną przestrzeń za wybicie kanału, który trzęsawiska osuszył. Pełno takich legend przyzbierała sobie młodość moja. Ojciec opowiadał je chętnie, a pamiętał mnóstwo. Plotło się to później w powieści i zużytkowywało jak tutaj.

Wiele z tych rysów i faktów które się wydadzą może fantazją pisarza, wyczerpnięte są żywcem z podań i szczątków dawnego bytu, który się tu odbija.

Czercza Mogiła drukowaną była naprzód we Lwowie, w wychodzącem tam naówczas niemal jedynem piśmie literackiem, potem ówczesny nakładca jego H. W. Kal-lenbach wydał ją w osobnym tomiku w r. 1855.

1872. Drezno

J. J. KRASZEWSKI.

Bylibyśmy niesprawiedliwi względem kraju naszego, gdybyśmy mu zarzucać chcieli z cudzoziemcami brak rozmaitości i jednostajność widoków; nie ma może bogatszej pod tym względem ziemi. Okolice Krakowa, podnóża Karpat, Sandomierskie, Mazowsze, Podlasie, Galicja, Poznańskie, Żmudź, Wołyń, Podole mają każde odrębną i silnie nacechowaną fizjognomję. Jest zapewne coś, co w wielką całość łączy rozpieczętłe rysy i daje im harmonijny koloryt; ale wpatrzywszy się tylko, co to tu szczegółów, ile barw rozmaitych i w swej prostocie tak pięknych! Nie mieniałbym tej ziemi, mglistem niebem pokrytej, borami odwiecznemi szumiącej, na najwspanialsze, najślawniejsze ziemice, których piękności poszły w przysłowie. Byle oczy, byle serce, byle uczucia trochę, a rajem ten śliczny świat. Wprawdzie i Lapończyk, jak mówią, kocha się w mechach swoich i kraju ze skał i topielisk złożonym, ale czyż i ten smętny ziemi kątek nie ma także piękności swojej? Bóg stwarzając ziemię, na wielkim jej, różnolitym obrazie odmalował różne strony, różne rodzaje piękna, dał wzory wszelkiego wdzięku, wszelkiego sposobu, w jaki natura myśl Jego wykazać może; a przy każdym z tych widnokręgów odmiennych

postawił człowieka, do którego duszy ta piękność przypada, który ją najlepiej rozumie i najlepiej ukochać może. I dla tego nie zazdroszczę wcale Neapolitańczykom ich zatoki, ani Szwajcarom gór ich, ani Niemcom i Francuzom Renu, o który się kłóca... dość mi tego na co patrzę... W tym złamku również odbija się myśl Boża. jak w wodach Orenoki, jak w falach Renu i płomienistych snopach podbiegunowej Zorzy.

Uznaję chętnie wszelką piękność, ale gdyby mnie kto przeniósł na zawsze z ziemi, do której tak przyrośłem sercem i duszą. o! umarłbym z tęsknicy za sosnami, za szarem niebem i lasem naszym zielonym.

A szczególnież za lasami. Bo według mnie nic piękniejszego nad lasy, gdzie brak drzewa: wody, skały, niebo, słońce. nic go nie zastąpi. I okolice, w których nie ma nic do widzenia prócz borów i lasów. jeszcze są weselsze od najnieprzejrzystszych, wonnego stepu, po którym tęsknota chodzi jak po wielkiem smętarzysku. Drzewa tylko że nie mówią, ale co w nich myśli! ile wdzięku! jaka rozmaitość barw, woni, fizjognomji! jakie w nich życie! Nigdy mi się nie uprzykrzyło jechać nimi choćby dni kilka ciągle, jak to się w Litwie zdarza: ale gdy raz stepem besarabskim półtora tylko dnia przewędrowałem na skwarnem słońcu. na całe życie miałem tego dosyć.

Litwa, to jeszcze kraj, na którym znać, że dopiero w XIV. wieku wcieliła się do mocarstw europejskich, i najpóźniej przeżegnała się krzyżem świętym. Co krok spotykasz pamiątki, z których zdać sobie sprawy inaczej jak sięgając myślą w czasy przedchrześcijańskie. nie można. Wieje zewsząd jakaś woń prostoty na pół dzikiej, na pół patriarchalnej. którą odetchnąć po zadusze naszej

miło. A przytem kraj to ze swemi lasami, jeziorami, piaskami, rozsypanym pod nogami kamieniem, ze swemi jałowcami i jodłami, dziwnie poetyczny i piękny, do którego się można przywiązać, za którym tęsknić łatwo życie całe. Któż, raz choć w życiu przejechawszy białowieżką puszcę, popatrzwszy na brzegi Niemnowe, podumawszy nad jeziorami, nasłuchawszy się gwaru lasów jodłowych, nie ujrzał ich później natrętnie mu się przypominających w snach i marzeniach?

Kraj to ubożuchny i lud dość by powinien być ubogi, bo na półku na wpół piaszczystem sieje hreczkę po życie, a żyto po hreczce, ledwie śmiejąc jałową skibę przewrócić, żeby się do szczercu nie dobrać, a przecież dzięki pracowitości swojej, dzięki pomocniczym środkom i przemysłowi, choć rola nie rodzi, chłopek rzadko doświadcza głodu. W okolicach wydmiastych i całkiem nieurodzajnych, woda i lasy dostarczają materiałów do pracy i zarobkowania; a tam gdzie coś zrobić można, Litwin tak uprawia, przewraca, gnoi, okopuje, osusza, że mu urodzić musi.

Aż miło wjechać do wioski, tak w każdej wyczytasz zaraz, że tu pracowite i pobożne mieszka plemię. Nigdzie tyle krzyżów, tyle kalwaryj i męk pańskich nie ma co na Litwie, nigdzie tyle u źródeł kapliczek i figur na rozstajach. A krzyże te mają fizjognomję właściwą, ze swemi daszkami, przykrywkami i mnóstwem płacht, fartuszków, chustek, wstążek, paciorków, którymi je obwiesza pobożność. Nieraz w pośrodku wiosieczki zobaczysz stos ułożonych kamieni polnych w jakąś systematyczną, piramidalną figurę, a na ich wierzchu wetknięty krzyż żelazny, a zasadzone drzewa ocieniające ten wiejski pomnik, któremu biała brzoza, stary jałowiec i jodła tyle

dodają wdzięku, że żywcem się na rysunek proszą. Oprócz tego na każdym dachu wyszył wieśniak słomą krzyż pański, nad każdym oknem jest godło zbawienia, jakby się jeszcze bali Litwini, żeby do nich dawne bogi nie powróciły ukradkiem.

Przebywszy cudowną wzniosłością drzew swych Białowieżką puszcę, która nie ma równej sobie w kraju całym, zmierzając ku Pińskowi, przebywa się dość smutną i mało komu znaną część Rusi litewskiej. Jest to płaszczyna żyzna miejscami, przecięta mnóstwem rzeczulek, bagien, trzęsawisk, wydm porośłych jałowcem i tą białawą trawą, która tylko na piaskach rosnąć lubi, uweleselona laskami brzoź białych lub borkami z sosen wysmukłych, podszytych gdzieniegdzie leszczyną. Na tej równinie, którą zewsząd zamykają lasy, gaje i borów ściany, tu i ówdzie poziome chaty długim szeregiem wyciągnięte, rzadko bielone, wyniosłe krzyże, szare kościółki wiejskie i młyny wietrzne, kiedy niekiedy dwór pokaźniejszy wstrzymuje rozbijałe oko. — Drogi po większej części składają się z grobel, bo tu bez rowu żadne się pole nie obejdzie, a grobelki zwłaszcza po wioskach, dadzą się podróżnemu we znaki. Pełno kamieni po polach, a że z nimi i z błotem nie wiedzieć co począć, zarzucają głazami temi kałuże i doły, niekiedy wyścielają całe długie kawałki wązkich drożyn, tak, że gdy przyjdzie przejeżdżać tego rodzaju budowę pierwotną, kości i powóz popamiętają. Kamienne owe grobelki są pomysłem ludzi, którzy całe życie chodzą piechotą, o tem wątpić nie można. Ale za to cóż to za śliczna rzecz kamienne płoty, którymi każda chata, podwórko i ogródek się zagrada! Kamień litewski nie jest to mar-twa, kantowata bryła, którą ręka ludzka świeżo odbiła

z pokładu odwiecznego, nadając jej kształt ułamkowy, nieforemny, rażący ostrością rysów. Każdy z nich tak jak jest. długie już przebył wieki, oszlifowały go wody potopu, pokryły go piękne mchy i porosty, a traf nadał mu postać często fantastycznie piękną. Niezmierna też jest rozmaitość kolorów tych brył kamiennych, czarniawych, sinawych, czerwonych, białych, żółtych, tak, że gdy z nich ułoży chłopiek płot, który okryją liście powojów, dyni, perestupów i chmielów, nie nad tę mozaikę barw widzieć nie można piękniejszego. W pośród otaczającej ją zieleni, grodzba ta niezmiernie odbija się malowniczo. Mnóstwo także kamieni różnych wielkości, użytych na progi chat, na słupy do bram, na siedzenia wśród drogi, zwracają oko rozmaitością kształtów i kolorytu.

Wśród wiosek w ten sposób poogradzanych, pełnych brzoź i jodeł, wiedzie cię droga, którą przebywasz to gaje wesołe, to długie błota, ożywione ptastwem bez liku. Trzęsawiska te byłyby niezmiernie smutne, gdyby im Bóg nie dał licznych mieszkańców i nagradzając brak piękności, nie kazał śpiewać na nich tysiącom stworzeń, co się gnieźdzą wśród kęp, wysepek, trzcin, sitowiów i osoki. Bąki, czajki, ogromne stada kaczek i zabawne owe bataljony*), z których każdy jest inny i każdy co chwila do boju gotowy — przelatują nad głową, a wieczorem odzywają się dziwnymi głosami, jak strażnicy tych rozległych przestrzeni, które są ich królestwem. Czasem z miłą ciągnie ci się grobla pełna mostków i dziur pełna, przez te błota nieskończone, a gdyś ją przebył, najlichsza karczemka stanie za najwygodniejszą

*) *Machetes pugnax* wedle ornitologii Karola Bonaparte.

gospodę. Tn znowu brniesz w piasku, ale bylebyś trochę kochał naturę i lubił się w nią wpatrywać, nie utrudzą cię one, bo i na nich są rośliny, są mieszkańcy, są ślady dziejów i ludzi. Nieraz z na wpół rozwianej mogiły naga kość cię przywita, lub rozbity kawał popielnicy stare czasy przypomni.

Właśnie tego rodzaju drogami zbliżałem się ku Pińskowi w roku 183... wpatrując się z ciekawością w kraj, który zmieniał się powoli i przybierał coraz nowe odznaczające go rysy, gdy na najszkaradniejszej z długich owych grobel mostek się podemną załamał, konie mi pozapadały, powóz się popsuł, a ja w skwarny dzień biały osiadłem na tem pustkowiu bez ratunku. Potrzeba mi było samemu ze służącym wyciągać moją telegę, wyprzęgać popłatane konie i wydobywszy się z jamy, powoli na drągu wlec do karczmy. Kłąłem też na czem świat stoi i rozrzuciwszy do szczętu zdradliwy mostek, pod którego belkami leżały się mnogie węże, poszedłem przodem pieszo ku gospodzie, nie przypatrując się już nawet krajobrazowi, choć wkrótce zarośla z olch malowniczych otaczać mnie poczęły zieloną ścianą gałęzi... Szedłem tak zadumany grobelką, gdy —

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — dało mi się słyszeć nagle i niemal mnie przestraszyło, takem się głosu ludzkiego na tej pustyni nie spodziewał.

Obejrzałem się dość zniecierpliwiony.

Na ścieżynce z drugiej strony grobli stał obrócony, w tęż co ja idący drogę żebrak, z łysą, obnażoną głową, trzymając słomiany kapelusz w ręku. Dziwna to była figura. niby coś na szlachcica i na dworaka zakrawająca, ale w wieśniaczym ubraniu. Twarz już nie młoda. poorana marszczkami pełnemi śmiechu, z okiem siwem. z usty

szerokiemi, nosem nieco zadartym, brodą rzadko zarastającą i jasną, jeszcze nie posiwiałą, dość była miła i sympatyczna. Na policzkach jej kraśniało zdrowie, a fałdy ust i oczów dowodziły, że dziadek więcej zwykł był śmiać się niż płakać. Chociaż mógł mieć z górą lat pięćdziesiąt a może więcej, na wypęłzłej głowie, na brodzie i wąsach nie widać było jeszcze ani jednego srebrnego włoska, a trzymał się prosto i krzepko i kij więcej mu służył dla odpędzenia psów, niżeli nogom za podpore. Strojem zbliżał się do strojów z okolic Pińska; miał bowiem na nogach chodaki długie, po kolana rzemieniem i sznurkami obciśnięte, sierak brunatny, kapełusz życzką przewiązany i nie pierwszy już rok widać służący, przez plecy torbę skórzaną, a u pasa cały przyrząd, złożony z kaletki nabijanej guzami, kozika i krzesiwa. Zaczepiwszy mnie chrześcijańskim pozdrowieniem, poglądał uśmiechając się, i powoli szedł za mną, oczekując widocznie rozmowy, której zdawał się pragnąć.

— Gorąco, jak *toj kazau* (jak *ten* powiadał, przysłówie w Rusi litewskiej u ludu pospolite) gorąco — odezwał się ocierając pot z czoła — a panoczek z daleka to, na piechotę się tak wybrał?

— Piechotą ale nie z ochotą — odpowiedziałem — wasze to niepoczciwe mostki winne, że się piec muszę i dziś w *...oczach* nie stanę.

— Ot jest, jak *toj kazau*! — zawołał żebrak — to pewnie koło węzowego ruczaju na mostku, podle Sroczej wierzby łamać się pan musiał.

— Kto go wie jak się tam wasz ruczaj nazywa — burknąłem — ale niech go razem z wierzbą wszyscy djabli wezmą...

— Niech biorą — odparł stary wesoło — ja nie prze-

szkadzam, niech biorą... a i w powozie pewnie się co nłamało?

— Jak byś tam był—rzekłem— a tu nie wiem czy gdzie kowala słyszać i kędy go szukać.

— Bardzo niedaleko i dobry majster. ot za groblą tylko co nie widać, karczemka, a przy niej kuźnia. Prawda, że kowal żyd Majorko, ale zna swoją rzecz.

— A tyś bracie tutejszy?— zapytałem weselszy, dowiedziawszy się o kowalu.

— Ja panoczku, *jak toj kazau*, od świata, tutejszy i nietutejszy— odpowiedział powoli dobywając różka z tabaką i długi niuch biorąc dziadek. — Włóczę się siedy i tędy a niły to z tej jestem okolicy, ale...

I urwał nagle: ja nie pytałem więcej.

Szliśmy tak groblą między olchami dobry kawałek drogi: wreszcie zawróciła się i z za drzew ujrzałem na piasku siedzące nad jeziorem sioło czarne, z wielkimi kilką krzyżami i karczmą drewnianą, przy której okiem szukałem zaraz kuźni.

Widok acz smętny, zwyczajny, płaski, nie był bez wdzięku; ogromne olchy po nad wodą, pomieszane z wierzbami, kościółek otoczony lipami staremi, poziome chatki, nawet karczminsko ogromne, składały się na kraj-obraz malowniczy. Tuż przy gospodzie kuzienka z dylów, darnią pokryta, mile mi się uśmiechnęła; żebrak popieszył przodem szukać Majorka, na którym spoczywały całe moje nadzieje. Ja tymczasem usiadłem na obalonym pniaku pod olchą i spoczywając przypatrywałem się trzodzie pasącej nad brzegiem jeziora, której pastuch przygrywał na ligawce. Ligawka jest to ogromna trąba prosta z sosnowych wystrugana deszczulek, obręczami zbita, smołą wylana, której miły i donośny głos rozlega

się po siołach litewskich. Kilka nót składają cała jej skalę, ale dźwięk ma w oddaleniu smętny, rzewny i zastosowany do kraju, w którym brzmieć zwykła. Ligawka, na której grał chłopak, większa była daleko od niego.

Krążąc oczyma po okolicy, nim mój poseł powrócił od Majorka, na uboczu pod gajem postrzegłem dwór, ale na pierwszy rzut oka zastanowił mnie, wydając się całkiem pustym... Cztery okna jego czarne, głębokie, jak doły w trupiej czaszce wyglądały... Płoty były poobalane, na budowlach dachy składały się z resztek krokwi i łat porwanych... a droga, która wiodła doń brzegami jeziora, całkiem była trawą zarosła. Stało jeszcze w miejscu wszystko, co dwór składało, rozeznąć mogłem dom mieszkalny, stajnie, obory, sernik, spichlerz, ale nigdzie nie było śladu życia.

Nie rzadko u nas spotyka się podobne nieładem zniszczone wioski, ale całkowitej pustki trudno zobaczyć, i ta mnie też mocno zastanowiła. Smutek wiał od tego starego dworca, w którym niegdyś mieszkało wesele i dostatek, opuszczonego tak przez ludzi i rzuconego na łup bezbronny wichrom, słocie i niszczącej sile przyrody, która przerabia natychmiast w nową postać, co pod swe panowanie zagarnia.

Zapatrzyłem się tak na ów dwór, żem żebraka, który już stał przedemną drapiąc się po łysinie, nie zobaczył zrazu.

— A co mój kochany, twój Majorko? — spytałem.

— Ot... lichy wie po co, proszę pana, powlókł się do Serebrzyniec za jezioro...

— Trzeba było posłać po niego.

— Konie na paszy, Judel pobiegł po siwą klacz na rozłóg, tam ją *se jak toj kazau*, okiełzna i pojedzie.

— A daleko to? — spytałem.

— Ot widać kościółek za jeziorem — rzekł ręką wskazując — ale naokoło jadąc, będzie półtorej mili... tylko że Judel sprawny i siwa dobrego ma kłusa...

— Czółnem by może prędzej było?

— Czółno wziął Iwan Mielniczuk, bo ja to już o tem myślałem — odparł dziad — pojechał zastawiać wiece-rze, a drugiego nie ma.

Posmutniałem na tę wieść, spojrzałem w słońce, które się pochylało w stronę zachodu, obrachowałem półtorej mili Judela, powrót z Serebrzyniec, naprawę osi i ze wszystkiego mi wypadło, że w tej wiosce nocować będę musiał... Karczma była ogromna, ale gdy przyszło ją obejrzeć zbliżka, nie znalazłem w niej ani kątki, w którym bym się mógł przespać, wszystkie izdebki były pozajmowane, jedna kartofel resztkami, druga przedziwem, trzecia smołą, czwarta żydowskiemi rupieciami.

— A dwór to czyj? — spytałem żebraka.

— Dwór? — powtórzył trochę zmieszany — tu nie ma dworu...

— No, a cóż tam widać pod olszyną?

— Był to dwór, ale to pustka — mruknął stary, machając ręką.

— Możeby tam znalazła się izdebka, tamże przecie ktoś mieszkać musi?...

— Ale nikt nie mieszka... ino ja czasem zajrzę — westchnął dziad — a potem, gdzieby to pan tam chciał nocować.

— Dla czego? — spytałem zaciekawiony.

— Albo to pan nie wie że to Krasne?

— Ja tu obcy i nic a nic nie wiem...

— Bo też nie ma co wiedzieć— odparł żebrak rnszając ramionami: w stajni panu siana pościelą i tam się pan przespí.

Nie udało mu się wszakże zbyć mnie tak lekko, jak mu się zdawało. Konie nadeszły, Majorka ani słysząc, ja uzbroiwszy się w cierpliwość, napoiwszy nowego znajomego, wydawszy stosowne dyspozycje służącemu, wyszedłem za karczmę na przechadzkę. Stary ów przybłęda już mnie nie odstępował, bawiąc wesoło pogadanką, która wcale przypadła mi do smaku. Dowiedziałem się już z niej był, że Paweł Żużel (tak się nazywał) rodem był z okolicy szlacheckiej, nieopodal od Krasnego; że służył dawniej w tym dworze, który teraz stał pustką, i że od lat kilkunastu wyszedł na dziadowski chleb, więcej z pobożności niż z potrzeby...

Domyślałem się jakiejś ciekawej historii o tym pustym dworze i skierowałem ciągnąc ku niemu starego Pawła. Ale jak tylko mnie zobaczył zwracającego się w tę stronę, stanął i zawołał:

— A po co to pan tamtędy? *jak toj kazau.*

— Pójdę do dworu...

— I dałbyś pan pokój, nie ma tam nic ciekawego... droga zarosła... pustka i po wszystkim... po co? i po co?

— Właściem dla tego ciekawy, że mnie waść od niego odstręczasz — odparłem otwarcie — cóż u licha, czy mnie myślisz strachami durzyć?

— Jakimi strachami — rzekł nieukontentowany żebrak. — Wszak ja tam sam nocuję... ale co ciekawego pustka?

Tak mówiąc szliśmy powoli, a Paweł tabakę zażywał i nosem kręcił i usiłował jeszcze zawrócić mnie ku jezioru, do kościółka, bylebym nie szedł do tego zakazanego

dworu; oczywiście, że mnie to na przekór pobudziło zarosłą drogą dotrzeć do miejsca.

Nie smutniejszego nad nie wyobrazić sobie nie można. Ruina ta nie była jeszcze tak starą, by poważną się stała, ani znów tak świeżą, by jeszcze dźwignąć ją była nadzieja. Krzewy, chwasty, pokrzywy, trawy pokrywały rozgrodzony dziedziniec; budynki waliły się wszystkie. Sam dwór trzymał się tylko jeszcze, ale drzwi główne płotem zasunięte, już się były wypaczyły ze ścianą, która groziła upadkiem... Nigdzie śladu mieszkania, nigdzie znaku dozoru i pieczy... Po za dworem był stary, zdziczały ogród, dzikimi malinami w pas zarosły: a że przezeń ścieżka jakaś prowadziła z dziedzińca, poszedłem nią zamyślony.

O kilkanaście kroków wśród gąszczy, osłonioną lipami i świerkami, ujrzałem szarą, ale porządnie utrzymaną kapliczkę, której drzwi stały zamknięte. Tu widać było rękę ludzką i staranie. Paweł, który szedł za mną, mrucząc niezrozumiale, zbliżył się, gdy mnie aż tu docierającego zobaczył, nie mówiąc dobył klucza i drzwi nim otworzył. Weszliśmy w milczeniu do wiejskiego tego kościółka, bardzo starannie utrzymywanego, ale na wstępie uderzył mnie widok całkiem niespodziewany. Na samym środku, na czterech cegiełkach, stała prosta, sosnowa trumna, nadzwyczaj wielka i długa. Paweł przodem wszedłszy, szybko pokłękł i począł się modlić, ja też odkryłem głowę i schyliłem czoło, oka nie mogąc oderwać od tej tajemniczej trumny. Z pozoru jej widać było, że nie dziś tu postawioną została, drzewo bowiem przybrało tę barwę szarą, martwą, którą się po latach dopiero okrywa, i znaki czarne, narysowane na wieku, spelzły tak, że ledwie ich dostrzedz było można.

Kapliczka wcale na smętarzową nie przeznaczona. wśród ogrodu, z trumną olbrzymią obok spustoszonego dworu. domysłać się kazala tajemniczej jakiejś historii. To też gdy po chwili modlitwy powstał żebrak i wyszliśmy z nim oba, znów ścieżką wracając ku domowi, począłem go naglić pytaniami, aby mi wytłumaczył co widziałem.

Wzdrygał się długo i opierał, wymawiał, alem go nareszcie skłonił do wypowiedzania mi historii, którą tu w niczem nie zmieniając powtórzę.

Lat temu kilkadziesiąt, w Krasnem mieszkał Samuel Hawnul. przybyły z kądś od Wilna aż, który wieś tę nabył od spadkobierców Kraśniańskich, rodziny wygasłej zupełnie, a od wieków tu niegdyś zamieszkałej. Posiadała ona Serebrzyńce, Krasne, Obody, Smolne i przysiołek Żabie, co razem ogromną zajmowało przestrzeń ziemi, jakie parę tysięcy włók z okładem; ale stopniami ubożając i wyprzedając się Krasniańscy, zostali przy Serebrzyńcach tylko i Krasnem, potem i Serebrzyńce sprzedali, aż wraz z majątnością przyszło i rodzinie wygasnąć. Na wiosce tej ostatniej zostało długów dosyć, fundacji pobożnych kilka, dożywociów i ponadawanych gruntów, spadła zaś na kilkanaście głów, tak, że podzielić się nie było podobna. Ale że interesa trzeba mieć było z wielu, a Krasne już z lepszego obrane zostało i pokrajane nadaniami, o kupca nie było łatwo. Tymczasem administracje do reszty je wyniszczały, a dziedzice byliby i tanio zbyli swe prawa, gdyby się kto tylko nadarzył. Już się to utrapienie wlekło lat kilka, gdy

Samuel Hawnul zjawił się w tamtej okolicy. Nikt go tam nie znał ani wiedział z kąd przybył, on sam z pod Wilna się opowiedział. Był to mężczyzna niezmiernego wzrostu, olbrzym, szeroki w plecach, barczysty, karczysty, silny jak wół, z miną zawieszistą, z wąsem czarnym za neho zachodzącym, przystojny, czarnooki, rumiany, ale ponury i straszny, nie tyle postawą i siłą, ile wyrazem oczów i ust, jakby tlejącego gniewu pełnych.

Bóg wie co go takim uczyniło, ale nikt się z panem Samuelem zmierzyć okiem w oko, ani na słowa, ani na rękę nie mógł. Z oczów mu buchało gdyby ogniem, z ust potokiem się lały wyrazy, byle go podrażniono, a szabla w dłoni byłaby pewnie po staremu woła na wpół przerabiała. Przyjechał najprzód do miasteczka, gdzie się w gospodzie roztasował, niby do sądu coś mając, bez dworu, z jednym człowiekiem, którego zaraz nazajutrz kędyś odprawił, i przysiadł, robiąc znajomości z palestrą. Z ludźmi był kiedy chciał, choć do rany przyłożyć i umiał ich sobie pozyskać jak nikt, rzekłbyś baranek taki potulny, taki uśmiechnięty; ale niech-że się mu kto choć lekko sprzeciwił, niech no wszedł, spojrzał, a krzyknął, a o szablę dłonią brzęknął, najmśmielsi bledli jak trusie. Tylko że w początku ten jego humor się nie wydawał wcale, póki się jeszcze rozpatrywał, dowiadywał i wachał. Szukał on niby metryk i dokumentów jakichś do podniesienia spadku po Huńcewiczach, gdyż się miał z Huńcewiczówną rodzić; ale około tego powoli chodził, i uważano, że się o majątek rozpytywał, a nareszcie otwarcie przyznał się, że mu się okolica podobała i radby tu sobie osiąść, gdyby się tak co trafiło. Naówczas pan Żyrmuński, adwokat, który trzymał interesa dziedziców Krasnego, naraił mu ten

majątek. Pojechali na grunt, pan Samuel obejrzał role po gospodarsku, mapę rozpatrzył, inwentarze pokonnotował, tranzakcje stare i nadania nowe spenetrował, i jakoś namyśliwszy się, począł o Krasne traktować. Tamtym nieborakom tego było i trzeba, położyli łapki i zdali mu się, że ich wziął jak sam chciał, zbywając tysiąckiem jednym, drngim, skryptem, procentem i t. p. Tylko pana Żyrmuńskiego podobno dobrze podsmarował, bo prawdę powiedziawszy, cała rzecz w jego była rękach. Nikt do tego nie wiedział, jak się tam z sobą zgodzili, ale zaraz i przedugodne punkta podpisane zostały pod wielką zaręką i Hawnul zadatek wyliczył, a postanowiwszy ekonoma ze swojej ręki, właśnie Pawła Żuźła, sam kędyś pojechał.

Nie było go widać blisko pół roku, ani słyhu o nim, już trochę się niespokoić poczynano, gdy jednego wieczora w dziedziniec dworn zajęchały dwie bryki i z pierwszej wyskoczył, co go i po nocy po wzroście poznać było łatwo, pan Samuel. Tuż za nim wysadzono z bryki kobietę, choć nie wspominał o tem wprzód, żeby miał być żonaty, widać żonę jegomości, bardzo śliczną, młodą jeszcze i powolną a delikatną.

Uderzyło to pana Pawła, że gdy nazajutrz przybyłych ludzi chciał dopytywać o swego nowego pana, już ich o świcie nie znalazł, bo wszyscy nocą poodjeżdżali, a dwie sługi, co koło jejiności zostały, tyle wiedziały co i inni; jedną przyjął Hawnul na drodze w Słonimie, drugą wywiózł z Wilna.

Hawnulowie rozgościli się na nowem swoim dziedzictwie po cichusieńku, pan Samuel wziął się do prawa naprzód, aby o nabycie ukończyć, potem żywo bardzo do gospodarki: ona zaś sama czy to chora, czy niezdatna

do tego, ani się ruszyła do kobiecego w domu zarządu. Mało nawet widywano ją, bo cały czas prawie w swojej izbie zamknięta siedziała, a w sąsiedztwa nigdzie nie jeździli oboje.

Tak się to poczęło w Krasnem, gdy Paweł Żużel pierwszy raz własne na kłapciu ziemi porzuciwszy gospodarstwo, poszedł w ekonomiczną służbę do pana Samuela.

Pan mu się mimo chmurnej krwi, dosyć jakoś podobał, bo miał i dobre przystępy fantazji, a choć czasem gdy się pogniewał, człeka zdaje się by rozdarł, bywały nań i lepsze godziny, w których szczerze to wynagradzał. To tylko jak powiadał, zawadzało panu Pawłowi zawsze, że czy zły czy łaskaw pan Samuel, nigdy się nie rozśmiał, nie pożartował, nie pobaraszkował, i choć, zdaje się, nic mu do szczęścia nie brakowało, bo i dostatek był i zdrowie i żonę miał potulną a wielce ukochaną przez siebie, przecież jakby tam mu kto szczęście kołkiem zabił, nieznac było po nim, żeby go doświadczał.

Kupiwszy Krasne, jak się wyżej powiedziało, rozmaitemi umowami ze spadkobiercami, powypłacawszy niektórym z nich, innych kontentując procentem, przybysz już całkiem się zajął urządzeniem majątności, i rozpoczął życie, które się niczem nie różniło od pospolitego szlacheckiego. Przecież tkwiła w nim jakby tajemnica jakaś, bo pan Hawnul od świata stronił, z bracią szlachtą żyć nie chciał i stosunków unikał, w życiu publicznem żadnego udziału mieć nie żądał, w domu nie przyjmował i sam prawie nie wyjeżdżał, chyba do kościoła w niedzielę, jejmość zaś w wielkie święta tylko i to zakwiefiona, że jej twarzy z początku nie widywano. W domu nie było jednak wcale skąpo, owszem dostatnio raczej, sprzęt piękny, grosza dosyć na potrzeby, życie wygodne

ale zaparte i smętne. Trafiło się li, że szlachcic do Krasnego zawędrował dla sprawy, interesu lub przypadku czy ciekawości, sam jegomość wychodził i tylko krótko go zbywał, a jejmość zawsze powiadano słabą i nigdy się obcym nie ukazywała.

Uważał pan Paweł, że nowy dziedzic choć pilno koło gospodarki chodził i miał ochotę się krzątać, ale obeznany z nią nie był, tylko ogólnie, jak u nas niemal każdy; owszem baki strzelał w dyspozycjach takie, że czasem Żużłowi, gdyby nie respekt, rozśmiać by się zachciało; sama też ani się wmięszała do kobiecych rzeczy, zdawszy wszystko na klucznicę: motki, kury, płótno i ogrody.

Całe dnie czasami pan Samuel spędzał w osobnym pokoiku z żoną na rozmowie i jakichś namysłach, naradach czy krotochwili, której dwór zrozumieć nie mógł: słyszano tylko na przemiany z izdebki, do której wchodzić bez zapukania nikomu nie było wolno, to głos żywy pana Samuela, to żałośny lub cichy i powolny głos żony jego; Bóg wie o czem gadali, ale się nagadać nie mogli. Dostrzeżono w początkach zaraz i tego, że byle zaturkotało w dziedzińcu, zrywał się niespokojnie Hawnul i biegł do okna, jakby przełęknięty każdym przybywającym. Wszystko to razem wzięte, jak zrazu uderzało i naprowadzało na dziwaczne domysły, tak po chwili stawszy się chlebem powszednim, przestało zwracać uwagę.

Sąsiedzi tylko skarżyli się na dziedzica Krasnego, że im nie dopisywał, bo pociechy z niego nie mieli żadnej, najgorzej zaś pan Stefan Wilczura. Ten mieszkał w Se-rebrzyńcach, był wdowcem od lat dziesięciu, a że ludzi, towarzystwo, wesołość i hulankę lubił, i spodziewał się

z przybyciem Hawnuła pozyskać *nomine et re* sąsiada, bardzo się krzywił, gdy z nim znajomości nawet do pół roku nie zabrał.

W okolicy, ba w całym kraju na mil jakie pięćdziesiąt. znano pana Stefana Wilczurę, bo bez niego nie obeszło się ani wesele, ani pogrzeb, ani zrękowiny, ani kondescensja, ani zwada, ani zgoda. Był to jeden z tych ludzi wszystkim potrzebnych, co w każdym złym czy dobrym razie pierwsi na myśl przychodzą. Mógł już mieć podówczas lat pięćdziesiąt, ale tych na nim znać nie było, choć ich za kołnierz nie wylał. Nie wielkiego wzrostu, krępy, pniakowaty, siły żubrzej, nigdy nie był pięknym, ale twarz jego miła chwytала za serce i szczególną władzą przyciągała ku sobie każdego. Spojrzawszy nań widziałeś od razu, że się na jego sercu nie omylisz. tak je na wierzchu trzymał.

Takich ludzi przed niedawnemi czasy jak maku u nas było, co to się z nich życie wszystkiemi łało szczelinami, dziś za to nie się nie wylewa, bo pusto we środku. Pan Stefan miał wszystkie wady swojego wieku, wszystkie jego przesady, miał oprócz tego nieszczupłą garstkę swych własnych. ale i cnót obficie, co za nie z nawiązką płaciły. *Kudy kiń to kozak*. jak powiada ruskie przysłowie, przybłąkane do nas z Zaporozża, od niczego się nie wymówił i we wszystkim przodkował; na konia siadł aż lubo było spojrzeć, strzelał jak nikt lepiej, pił za dziesięciu i nie spił się, tylko ten miał zwyczaj, że podchmielewszy, już bywało nic nie mówi, tylko śpiewa a śpiewa, i to własnej inwencji wierszykami, wcale zgrabnemi. Do kompromisu jedyny, bo prawo i ludzi znał na palcach, z książek go było zagadnąć nie utknął. bo ich siłą czytał, do kobiet przysiąść

się umiał galante, wybić w pałasze jak palestrant lubelski, słowem i głowa tęga i serce najlepsze, ale też szalała, że drugiego poszukać i nie znaleźć.

A choć nauki i od Pijarów był liznął i dworu u książąt Ogińskich skosztował, bo ojciec jego i rodzina z dawien dawna jeszcze od Olkienickiej, ba i starzej temu domowi służyli, choć człek światowy wcale, choć wszystko wiedział co przeciw staroświecczyźnie pisano i prawiono, z ościami był starej wiary. Nie byłby za nic w świecie dnia świątecznego nie poszanował, czarownic bał się okrutnie, w gusła wierzył wszystkie, sny sobie kazał tłumaczyć, a którego dnia lewą nogą stąpił z łóżka, bał się za próg wyjść, żeby mu się co złego nie stało. W poniedziałek niczem go z domu wywabić nie było można, a feralne dnie ze starego kalendarza co roku pro memorja w nowy wpisywał czerwonym ołówkiem. Szlachcic miał jedynaczkę, przy której bawiła wdowa po krewniaku jego, panu Pańczewskim z Zawilejskiego, kochał ją bardzo, ale rzadko domu pilnował, ludziom służąc i sam się bawiąc, a gdy okazji nie było, polowania zbierając.

Całe życie jednakowo chadzał i choćby do największego dworu i w największą uroczystość stroju nie zmieniał, od śmierci żony w czarnym kirze się nosząc; co mu jednak nie przeszkadzało wcale do łada ładnej gąbki śmiejącej się i czarnych oczek jak jasna świeca się palić i cholewki smalić, choć czupryna siwiała. Sławnie też, choć w tej żałobie, polskiego tańcował, zwłaszcza gdy sobie podochocił, tancerz był zawołany do innych, swoich i cudzoziemskich tańców, czy to krakowiaka, czy drabanta, czy mazura; w kozaku zaś z przysiadami równego nie miał.

Bywało go w ręce całują na pokojach u ks. Ogińskiego, żeby im to pokazał, ale nie zawsze się dał namówić. Starzy i młodzi kochali go i taką miał miłość u szlachty, że na sejmikach na rękę go nosili, a kogo im podał utrzymali każdego, ani patrząc co drudzy krzyczeli przeciw, jeśli kto śmiał przeciw Wilczurze gębę otworzyć.

Dom jego nie bardzo był uczęszczany, bo Serebrzyńce z położenia swego niedostępne, odległe od gościńców, za wodami, nie bardzo miały obfite sąsiedztwo; ale za to gdy zaprosił pan Stefan, hulano tam po tygodniu, po dwa, i wysuszano piwnice do kropli, a naówczas córkę z domu Wilczura wyprawiał, żeby już nie do bankietu nie przeskadzało.

Serebrzyńce, jak widzieliśmy, z Krasnem sąsiadowały, bo dwoma bokami gruntów opierały się o nie, i gdy w miasteczku wieść się rozeszła, że je pan Hawnul kupił, że w nich osiada, Stefan się mocno ucieszył.

— A to przecie — rzekł — pan Bóg mi sąsiada daje, będzie gdzie w słotę w marjasza pograć lub pogawędzić, będzie kogo zaprosić na wieczór zimowy i człek trochę ławy zagrzeje. Ale co to za ptasio Hawnul, coś tej familji nie znam!

Nie znali jej i drudzy, ale że tam po Litwie moc jest nazwisk różnych, nikt się temu nie dziwował.

— Może być Syruć, może być Bołtuć, może być Dziumdziul i Hawnul — rzekł ferując dekret Wilczura — pan Bóg różnie ludziom rodzić się daje, a szlachty dziwnego nazwiska przepaść.

Pilno się o niego dowiadywał Wilczura, ale daremnie, bo go ani dostąpić, ani spenetrować nie mógł. Nadybał go w miasteczku raz i chciał *titulo* sąsiedztwa zrobić

znajomość, ale Hawnul tylko mu się pokłoniwszy, uszedł.

Już to wszystko i sama fizys nie podobąca się jakoś Wilczurze, ale milczał.

— Chce cicho siedzieć i za piecem pana Boga chwalić, niech mu się stanie wedle woli jego, obchodziliśmy się bez Hawnulów dużo, potrafimy obejść i teraz.

Spotykali się potem nie raz i nie dwa w kościele, w miasteczku, na polu koło granic, grzecznie sobie kłaniali, a Wilczura im częściej mu w oczy zaglądał, tem gorzej ominował. Po cichu nawet zeznawał przed swoimi, że przybłądzie źle z oczów patrzy.

— Możem winien i z grzechem, że o bliźnim tak szparko się odzywam z wyrokiem, ale dalipan. z ust co się nie śmieją, z ręki co się nie otwiera, nic dobrego nie wróżę. Przecież żeby jakie ciężkie było życie, chwila jest, że się zaśpiewać zechce.

Niepokoił go ten sąsiad tak zaszyty w izbie sam z żonką, a nie gospodarz, a nie myśliwy, i nie koniarz i nie hulaka, unikający ludzi i nie mający dla nich dobrego słowa. Od żydów, od szlachty, od Żuźła zbierał o nim wiadomości Wilczura i zżymał się, że niczego dowiedzieć nie mógł.

— Przecież—mówił—czemś to żyć musi, dobra żona ale i żona jemu i on jej dokuczy ustawiczną miłością, coś u kata ma pod wątrobą, bo to bez kozery nie jest!

Kozery wszakże domacać się było trudno.

Rok cały w ten sposób upłynął, a choć ludzie oswoili się z Hawnulami, pletli na nich, to że stary w piwnicy gdzieś pieniądze fałszywe kował, to że pokryjomu pił, to że sknerstwem się zabawiał wszetecznem, ale najwięcej w końcu to się o nim rzekło, że z ludźmi nie żyje, bo impetyk straszny i sam siebie się lęka, tak go furja

unosì, byle mu kto najlżej przeszkrobał. Opowiadano, że raz włóścianina z Gruszej Góry, zająwszy bydło jego na sianożęci, o mało czekaniem, z którym chodził, nie ubił, że Żużła pchnął raz z izby tak, że nim drzwi wyłamał i inne dziwy straszne.

— A to siłacz widzę—mówił Wilczura—ale czy to już stary dąb najmocniejszy dla tego że wielki, kto to wie, jakby się z kim małym popróbował, czyje by było na wierzchu?

W spokoju ten czas przeżywszy, już pan Stefan miał o sąsiedzie zapomnieć zupełnie i przestać się może on dowiadywać. gdy raz jakoś porą letnią o samym sianokosie, wpada ekonom do niego z oznajmieniem, że ludzie z Krasnego sianożęć na Pogrudziu od granicy koszą.

Pan Stefan aż się zatrzęsał.—Co to jest!—zawołał—jakim sposobem, zawołaj wasan gromadę z cepami, z kijami, z siekierami, z kosami i spędzić mi ich natychmiast. Jakim sposobem to się stać mogło? jak się ośmielili?

Historja tej sianożęci na Pogrudziu sięgała bardzo dawnych czasów, gdy Krasne i Serebrzyńce do dwóch rodzin. którym nadane zostały za Zygmunta Augusta, należały.

W nadaniu na Krasne wyraźnie powiedziano było odkąd się poczyna granica Serebrzyniecka, od kamienia na błocie, i gdzie się ona kończy, przy braci Siemionowej, na uroczysku Wilcze pole, ale nie wyszczególniono przez jakie punkta przechodzi. Ztąd od dawna spór się wyrodził, gdyż Serebrzynieccy dowodzili, że od kamienia Łycho zwanego, szła rąbież wodocieczu, po za sianożęcią do barci, a Kraśniańscy przecząc temu i sianożęć sobie przyznając, za termin *per quem*. wskazywali mogiłę

z bardzo dawnych wieków, zwaną Czerczą, którą oni za kopiec graniczny podawali, łąkę sobie chcąc przywłaszczyć. O tę więc sianożęć, na której w dobry rok mogło stanąć parę stogów siana, była walka. Jak gromady świadczyły, zajadła, i trafiało się, że z obu stron ludzi zabijano, do sądu z nimi się ciągnano, obdukcje napaści robiąc, pozywając się, komisje zwołując bez ustanku. A że procesowi granicznemu końca nie było, i żadna strona ustąpić nie chciała, trwało to różnie czas długi. Jednego roku chwycili siano Krasniańscy, drugiego Serebrzynieccy, obie wioski łąkę sobie przyznawały, póki wreszcie majątki te w ręce Krasniańskich nie przeszły. Pod jednym dziedzicem ucichło to naturalnie, dwór zbierał siano i zapomniano sporu; ale gromady pamięć owych walk przechowywały. Kiedy znów majątności się rozdzieliły, Krasniańscy podupadli, Serebrzyńce zaś w jednym ręku były i u silniejszego, Wilczura łąkę kosił i spał spokojnie. Pierwszego roku nawet po nastaniu w Krasnem dziedzica, skosili Serebrzynieccy, ale z jakiejś obawy stogów nie stawili, siano na brzeg wytaszczyli i do odryny schowali na swoim gruncie; myślał tedy Wilczura, że to już minęło, aż tu znać dają, że Krasniańscy mu łąkę golą.

Zakipiała w nim krew, szablę przypasał i co było we dworze na koni wsadziwszy, sam na deresza, ekonom także, aż do knechtów, z czem kto miał, do wioski, zwołując gromadę, po chatach, z pola.

Zebrało się tam tego dosyć, bo ludzie zawsze na taki wypadek najskorsi, a nienawiść między gromadami była taka, że się nawet nie swatali od niepamiętnych czasów, jedni drugich zowiąc cyganami, to tatarami, i zaraz to wszystko na łąkę, a przodem pan Stefan.

Krasnianscy jak tylko zobaczyli tłum, ścisnęli się w kupę, nie ustępując kroku. choć ich mniej było, podnieśli kosy i stanęli. Wilczura rozeznał między nimi Żuźła a nieco opodał po ogromnej postawie, na szkapie chudej, pana Samuela Hawnula. Nie skory będąc do gwałtu, choć też w konieczności do siły się wziąć nie wzdragał. skinął Wilczura na ekonoma. owego Pawła Żuźła, aby ku niemu podszedł. a szlachcie buty zrzucawszy i szarawary zakasawszy. przez błotko się przebrał i przyszedł.

— Co wy to najlepszego robicie?— spytał pan Stefan— czy wam się guza chce złapać, pocóście mi w sianożęć wleźli? Ruszajcie sobie a żywo, bo was strzepiemy. dyferencją—ście przypomnieli widzę. ale z tego nic nie będzie.

Paweł się w głowę poskrobał.

— Panoszku— rzekł — to nie moja sprawa... jak pan każe, sługa musi, jam tu, proszę wierzyć, nic nie winien. Dziedzic na mapie znalazł łąkę, ludzi pytał i kosić kazał, ja przedstawiałem co z tego wyjść może, ale mi tylko nogą tupnął i jeszcze przydomek dał nieładny... mówcie sobie z nim sami, *jak toj kazau...*

— A nuż to mu oświadczyć — rzekł Wilczura — że co mamy ludzi kaleczyć, niech się ze mną rozmówi lepiej, oł tu na hrndku. dokąd obydwu dojechać możemy.

Ekonom tedy w poselstwie znów przez błoto na prost poszedł i odniósł co mu kazano, a pan Samuel trochę się zastanowiwszy tylko, konia spiał i na hrudek wyjechał, w czem się i Wilczura uprzedzić nie dał.

Skłonili się sobie przystojnie ale z daleka, pan Stefan aż gniewem buchając. a olbrzym ów tak się dobrze na

wodzy mając. że stał gdyby panna przy ołtarzu, oczy w dół spuściwszy.

— Panie sąsiedzie — odezwał się Wilczura — a co to myślicie umarłych wskrzeszać? Kwestja o łakę na Pogrzebziu dawno nieboszczka, nie dobrze ją z grobu wywoływać.

— Mogło to być wszystko — zająkując się nieco odparł powolnie Hawnul — ale żywą ją pogrzebiono, a ja z mojej pracy i krwawego potu nic tracić nie chcę i co przez niedbalstwo antecesorów tu moich nadwerężone zostało, odzyskać powinienem.

— Ale panie sąsiedzie, zajrzyjcie *ad acta*! Że się waszmościowi poprzednicy wdzierali w cudzą własność, to nie racja!

— Kto się komu wdarł *lis sub judice est*...

— A no to prosimy do sądu! — zawołał Wilczura — ale póki ten nie zawyrokuje, używalność za mną, dawność za mną... i z łąki *fora* mości dobrodzieju!

— *Fora* albo nie *fora*! — rzekł zacinając usta Hawnul ale trzymając się jeszcze — kto kogo foruje może sam grzbietu nadstawić!

— Nie życzyłbym waszmości ze mną siłą poczynać.

— Ani ja z sobą — odparł Hawnul — bom nie przywykł ustępować...

— I ja też, panie sąsiedzie... ale krew ludzką rozlewać dla trochy siana, nie wiem czy się godzi?

— Krew niech spada na tego co począł.

— Juścić ja nie poczynam! — krzyknął Wilczura — waćpan na mnie następujesz, bronić się muszę i bronić się będę... Łakem kosił, koszę ją i tego roku, a chcecie się o nią rozpierać, prosimy do sądu!

Hawnul ręką machnął z dziwnym uśmiechem, oczyma błysnął i usta wykrzywił.

— Waćpan mnie nie znasz, panie sąsiedzie — rzekł mitygując się jeszcze.

— I *waszcć* mnie też — impetycznie zawołał Wilczura — ale tę mam i na łące i u ludzi nad waścią wyższość, że mnie i sprawę moją ludzie znają, a *waści* tu nikt!

— No to mnie poznacie!! — rozśmiał się Hawnul — poznacie kiedy chcecie.

— Radziśmy, aby prędzej!

Od słówka do słówka przychodziło już do przymówisk, gdy Wilczura chcąc przerwać tergiwersacją, która się źle skończyć mogła, zagadnął go:

— No... ustępujecie czy nie, a nie, to was ludziom spędzić każę.

— Każcie komu chcecie, a ja zrobię co się patrzy!

I z temi słowy odwrócił się i odjechał pan Samuel. Wilczura też nie czekał długo, z hrudka zjechał, na swoich skinął i Srebrzynieccy rzucili się obcesem na Kraśniańskich. Ci pierwszy impet strzymali jakoś, ale że kupa się waliła na nich, zaraz tył podawać zaczęli. Żużel widząc, że nie przelewki, drapnął, a Hawnul sam z koniem do bójki przypadłszy, gdy swoim usiłował animuszu poddać, z konia ściągnięty przez chłopą, byłby może dostał co więcej, gdyby go własni ludzie nie chwycili i szamotającego się i krzyczącego nie unieśli gwałtem prawie.

Na tem się to skończyło na ten raz i zwycięstwo zostało przy Srebrzyńcach, a trawę ukoszoną wnet pochwycono, i o nią więcej sporu nie było. Ale zaraz na-
zajutrz dwa manifesta postąpiły o gwałt od Stefana

Wilczury i od Hawnula i proces między nimi rozpoczął się formalny.

Paweł Żużel, który codziennie widywał swojego pryncypała, powiadał, że po tym wypadku, gdy do dworu powrócił, długo mowy odzyskać nie mógł, leżał jak trup blady, trzęsąc się tylko i miotając, a jejmość z wielkim lamentem około niego tańcowała. Widzieli ją ludzie gdy klęczała z rękami załamane, prosząc męża, żeby ustąpił pretensji, procesu nie rozpoczynał i ludzi sobie nie narażał, słyszeli jak mu coś, cała we łzach, szeptała, ale pan Samuel kiedy mu się język rozwiązał, zawołał klnąc na czem świat stał, że nie ustąpi póki żyw, a rozumu chłystka uaczy.

Caluteńką tę noc gwar i szmer słyszano w izbie sypialnej, choć ludzie nie mogli nic więcej podsłuchać, bo rozmowa stała się cichą i widocznie ze strachu, ażeby jej ludzie nie pochwycili, w szepty prawie przechodziła. Niekiedy tylko wybuchał pan Samuel, a żona mu prośbami i pieszczotami usta zamykała.

Przeciwnie pan Stefan Wilczura, któremu się udało na wstępie przeciwnika pokonać, powrócił do domu jak by go na sto koni wsadził, rad, że znalazł zajęcie.

— Ot przynajmniej korzyć będę miał z sąsiada — rozśmiał się zacierając ręce — dobry proces, to nie lada zabawka, choć kieszeń suszy, ale nie daje zgnuśnić, zasnąć i zestarzeć, to się trzeba ruszać.

Oba prawie jednego dnia pojechali do miasteczka, a Samuel Hawnul udał się do Żyrmuńskiego, z którym już miał stosunki, Wilczura zaś do Filipa Turzona, sławnego prawnika, szczególnie w sprawach granicznych, bo *processus granicialis* stanowił jego specjalność.

Filip Turzon, stary wyga, głowę miał dobrą, serce

pocziwe, ale jak wlażł w skórę patrona, tak w niej caluteńki mieszkał, i miał to za arynę, że złego procesu nie ma na świecie, a wszystko dobre co do dobrego, to jest do postawienia na swoim prowadzi. Grzeczny był, uniżony, słodki, kłaniający się, minę miał głupkowatą, potulną choć do rany, ale oszukiwał tą swoją pokorą i dobroduszością, bo większego filuta nadeń nie było, a gdy szło o zrobienie z muchy wielbłąda, ani się zająknął tak zawsze znalazł czem dosztukować.

W życiu codziennem Turzon był najpocziwszym człowiekiem. ale spełniając powołanie, nie zważał na środki, byle swego dopiąć, i serce chował do kieszeni, stojąc przed kratkami. Dwóch, rzec można, było w nim ludzi. jeden zacny i prawy, drugi, dla którego, gdy się rozmachał, uic nie było świętego. A chwyciwszy człowieka w swoje szpony, nie nie było, czem by go pożyć się nie starał. Znano też Turzona jako najniebezpieczniejszego przeciwnika i Żyrmuński, który choć z nim był źle, ale unikał antagonizmu, dowiedziawszy się kto będzie ze strony Wilczury stawał, ledwie nie do zgody namawiać miał ochotę Hawnula.

Hawnulowi ani gadaj o tem! Stuknął pięścią w stół, oczy mu zaszyły krwią i zaprzysiągł się, że swojej krzywdy nie daruje, choćby Krasne całe poszło za łakę na Pogrudziu.

Napróżno Żyrmuński, człek wystaly i zimny, przedstawiał, że i Krasnego mogło nie starczyć, i osobą, życiem, zdrowiem może płacić będzie trzeba, Hawnul jak się zaciął, ani kroku nie ustąpił.

Proces tedy, nim siano uszło, rozpoczął się formalny; z obu stron manifesta i żałoby, a sąd nakazał konportację dokumentów. Tu był sęk, bo Krasne od tylu lat

zostawało w bezrządzie. że papierów nowemu nabywcy zdano mało i to tylko czego myszy nie dojadły, a mapa choć była robiona widać z czasów, gdy Krasniańscy posiadali obie wioski. nie dowodziła wcale na stronę nowego dziedzica, bo na niej łąka na Pogrudziu stała z adnotacją: „Z dawien dawna dyferencja. używalność Serebrzyniecka“.

Gdy się tedy w papierach rozpatrzono. a brak dowodów ukazał, Hawnul z wielkiego impetu rzucił prawie w oczy panu Żyrmuńskiemu dokumenta i krzyknął:

— Jakeś mi to waszeć sprzedał, tak mnie teraz broń. Szukaj sobie gdzie chcesz dowodów! byle były!

Żyrmuński połknął afront, pocmokał, poskrobał się po łysinie, ale że jest zawsze *modus in rebus*. wydobył ni to ni owo ze starych nadań, poprzeć się gotując swoje zeznaniami gromady krasniańskiej i sąsiednich, do których wcześniej zastukano.

Strona pana Samuela wskazywała granicę wedle Zygmunrowskiego nadania, dukt prowadząc od Kamienia Łycho zwanego, do barci na uroczysku Wilcze pole, ale przez mogiłę Czerczą, która wedle niej, miała być starodawnym kopcem. usypanym w czasie zjazdu na gruncie w 1611 roku, przy pierwszym sporze o łąkę i las sąsiedni między Serebrzyncami a Krasnem; Wilczura zaś wskazywał od kamienia Łycho ruczajem rubież do zakłętego kopca i dalej do barci, dowodząc, że przeciwna strona niesłusznie mogiłę bierze za kurhan graniczny.

Sąd mnsiał rozkazać wizję na gruncie, dla przekonania się, czy kopiec Czerczym zwany, był czy nie mogiłą? Na tem więc chwilowo oparła się cała sprawa, a Żyrmuński nie rad nadanemu jej obrotowi, choć gromad sąsiednich wcześniej sobie zeznania urządził, z pogłosek

ludu wątpił, by rozkopanie Czerczej mogiły mogło dać pomyślny wypadek.

Podanie przywiązane do miejsca od wieków, nie dozwalało wątpić, że kurhan był z czasów pogańskich mogiłą.

Przekonawszy się o tem, usiłował Żyrmuński odwlec wizję i zmienić tok sprawy, ale to było niepodobieństwem przy zabiegach Turzona.

Dzień zjazdu zostałznaczony, członkowie sądu odkomenderowani, a pan Stefan Wilczura obstawał przy prowadzeniu duktów i reduktów nie na papierze, ale wedle skazówek gromad na miejscu.

Żyrmuński, który się pryncypała obawiał, na kilka dni jeszcze przed zjazdem pobiegł do Krasnego po radę. Zastał Hawnula jak zawsze samego jednego w pierwszej izbie, bardziej jeszcze chmurnego niż kiedy, niespokojnym krokiem mierzącego pokój, ze spuszczoną głową i brwią nawisłą.

— Szanowny panie—rzekł prawnik—przybyłem ostatecznie spytać pana co robić mamy, chciałeś pan komisję na gruncie, nie taję, że ona na złe wyjść nam może. Upieramy się za kopiec uważać Czerczą mogiłę...

— Bo to kopiec graniczny!

— Dla czegoż lud mogiłą go zowie?

— Lud głupi sam nie wie co plecie.

— A jeśli się okaże mogiłą? — zawołał Żyrmuński, który był dosyć przesądny — jeśli dla płochej sprawy naruszym spokój nieboszczyka?

— Co wacpan nazywasz płochą sprawą — ofuknął gwałtownie dziedzic Krasnego — kawał ziemi, najpiękniejsza łąka! A! nieboszczyk! — zaśmiał się dziko i

błysnął wejrzeniem złowrogiem — wyspał się dosyć w mogile, nie zaszkodzi mu gdy się przewietrzy...

Ten niewczesny żarcik słysząc Żyrmuński, poczuł dreszcz chodzący po skórze, pożałował, że się sprawy podjął, i że w nią rękę umoczył.

— Może to panu nie czyni żadnego wrażenia naruszać spoczynek zmarłych, ale daruj mi pan, że nie podzielam w tym zdania jego... Mogiła dla mnie święta! a lekko prochy ludzkie poruszać... a! kto wie co z nami będzie..

— Z nami—odparł szyderczo Hawnul—alboż to wac^o pana obchodzi co z nim zrobią po śmierci? Mnie, przyznam się wac^o, wszystko jedno czy ciało rzucą pod płotem, czy je pogrzebią na święconej ziemi.

Adwokat był pobożny i wzdrygnął się na te słowa, które go przejęły strachem.

— Na miły Bóg—zawołał—co pan dobrodziej mówisz.. na co wyzywasz nieszczęścia!

— Ot mówmy o sprawie — odparł Hawnul machając ręką obojętnie—choćby to była i mogiła, wątpię czyby mieli cierpliwość dokopać się do nieboszczyka; a jak kości jego nie znajdą, wygrana nasza... Ale tak źle nie sędzę! Któż-by u licha chciał się kazać pogrzebać w błocie na hrudku, bez cmentarza?

— Różnie się trafia — rzekł doświadczeńszy Żyrmuński—w starych wiekach obyczaj był różny od naszego; potem trafiały się wypadki nagłej śmierci. Pan wiesz co za podanie jest o mogile?

— Wac^opan już i podanie złapałeś?— spytał Hawnul.

— Badałem ludzi, rozpowiedzieli mi co od pradziadów u nich o Czerceję słyhać... wszyscy sądzą, że to mogiła pewnie.

— No! a któż w niej pochowany?...

— Pan Bóg wie, jedni powiadają że kniaź, który się nazywał Czerniej, inni, że od imienia Czernca, który u boku jego poległ i razem z nim został pogrzebiony, mogiła miała przybrać nazwanie. Tandem historia taka... że kniaź ów w sporze o posiadłości z sąsiadem, wyjechał na pole i gdy się kłął wywodząc granicę, od piorunu ubity został. A że z nim był Czerniec, co go do przysięgi fałszywej przywiódł, i temu niebo nie darowało. Sami chłopci, jak to naród jest ciemny — dodał Żyrmuński — plotą o bitwie w tem miejscu, po nocy stoczonej między braćmi, która była karą Bożą, za nieusłuchanie rozkazów umierającego ojca! A dosyć że *una nimiter* świadczą, iż to jest mogiła.

— Niech-że ich wszyscy djabli porwą razem z mogiłą i nieboszczykiem! — zawrzał Hawnul — waćpan sobie rób co chcesz... a ja od swojego nie odstępuję. Nie mamy innego sposobu ratowania się, tylko się musimy grzebać w tym kurhanie, ale że to rzecz stara i nieboszczyk zgnić musiał, któż nam dokaże, że to nie kopiec?

Żyrmuński, jako to był człek Boga się bojący i nie rad zadzierający z nieboszczykami, złożył papiery na stole, chwilę pomyślał, pasa poprawił i rzekł zimno:

— Strona przeciwna, jakkolwiek pewna niemal wygranej, ile to z Turzona wyrozumieć mogę, gotowaby skończyć kompromisem, bo i im mogiłę kopać nie miło. Spróbujemy? Łakę przez pół, nowe kopce posypać i spokój święty.

Pan Samuel słysząc to aż poskoczył.

— Jak mi to waś śmiesz prawić—krzyknął — co to ja dziecko? Kiedy strona przeciwna do zgody się skłania, pewnie to jest kopiec nie mogiła, u mnie wszystko

albo nie, a ustąpić pókim żyw nie nastąpię...

— Chciej-że sobie waćpan innego obrońcę umówić — rzekł pan Żyrmuński — bo choćby się ze mnie miał śmiać świat cały, ja powodem ani uczestnikiem w naruszaniu popiołów czyichś być nie chcę i nie będę.

Ofuknął się srodze Hawnul na tę, jak nazywał, zdradę, ale pan Żyrmuński stanął ostro, wziął za czapkę, pokłonił się, wsiadł na wózek i pojechał.

Hawnul też zaprządz kazał i za nim do miasteczka klnąc poleciał, ale rozmyśliwszy się w drodze, kazał zajechać do dworku pana Matjasza Wiły. Człowiek ten w bardzo był złej renomie w okolicy, choć jawnie mu nie zarzucić nie było można. Pobożniejszego nadeń rzadko było znaleźć, pokory mu nikt nie odmówił, i szelmostwa żadnego palcem nie umiano wytknąć... Pletli przecież dziwy o nim, o przewrotności jego, o sprawach, których się podejmował, o fabrykacjach dokumentów o podstępnych wikłaniach stron, o sprzedawaniu aktów i t. p. Z tego powodu nikt Wiły nie używał, a choć mu się kłaniano z daleka, opuścili go ludzie tak, że gdy wszedł w kompanję, gdzie kilka osób się znajdowało, jakby makiem posypał, wszelka się urywała rozmowa i po chwili kto mógł, brał za czapkę i zmykał.

Wiła żył w towarzystwie takich jak sam odrzutków i znosił to z udaną pokorą, ale z gniewem w sercu. Nie był to jeszcze człek stary ale blade, wynędzniały i jakby zjedzony brzydkim jakimś nałogiem; trzymał się zgięty, kaszlał i nie śmiał nikomu prosto spojrzeć w oczy. Mieszkał ustronnie, w domku zawsze różnych podejrzanych kobiet pełnym, brudnym, niechlujnym i żył skąpo a przecie w nędzy na oko.

Nie wiadomo jaką myślą pchnięty udał się pan

Samuel do niego, ale dobrze trafił, bo Wiła w papiery nawet nie patrząc, okazał wielką znajomość miejscowości, i nim mu Hawnul rzecz miał czas opowiedzieć, sam już stan sprawy mu wyłuszczył.

— Ja to sam — rzekł po cichu z pokorą — trochę jestem krewny Kraśniańskich, miałem dawniej w ręku ich papiery. Stan kwestji nie jest mi obcy... a co się tycze Czercezej...

— Aleć to nie jest mogiła? — zapytał Hawnul. Wiła obejrzał się, przysunął z stolkiem i rzekł cichutko :

— Owszem, mości dobrodzieju, to jest mogiła... ale to może być i kopiec.

— Jakim sposobem?

— Ale to długa historia — rzekł adwokat.

— Może o Czernym kniaziu? — spytał Hawnul.

— Znam i tę — odparł Wiła — lud sam nie wie co plecie i coby miał pamiętać, to woli komponować. Rzecz się ta miała inaczej. Trzeba byś waćpan dobrodziej wiedział, że matki mojej ojciec rodził się z Huńcewiczówniej.

— Ale i ja jestem w powinowactwie z Huńcewiczami.

— I to wiem, i przez kogo nawet — z flegmą ale wzrokiem mierząc Hawnula rzekł Wiła.

Ale w tej chwili cały w ogniu zerwał się z siedzenia konsultant i zawołał :

— Zkąd waćpan to wiesz?

— Niech pan nie zwąża, ja wszystko wiem — rzekł cicho adwokat — ale co ja wiem to jak kamień w wodę.

Na twarzy Hawnula silne znać było wzruszenie, którego długo pohamować nie mógł, drżał, bladł i wreszcie przemógłszy się, usiadł na oko spokojniejszy nieco.

— Otoż, co chciałem mówić — kończył Wiła.

Huńcewice byli posiadaczami Krasnego lat temu dwieście, i ta nieszczęsna mogiła pokrywa nie Czercza kniazia, nie kogo innego, tylko Polikarpa Huńcewicza.

Rzecz się tak miała... Było ich dwóch braci, Paweł i Polikarp, który, jeśli się nie mylę, po matce przypadnie pannu dobrodziejowi praszczurem.

Hawnul znów się zastanowił.

— Paweł i Polikarp srodze się nienawidzili, nie wiem czemu... Licho nadało jeszcze pannę Łowczankę Malinowską, o którą się oba starali... którą Polikarp z przed nosa schwycił bratu. Ztąd nienawiść większa jeszcze, codzienne waśnie i coraz sroższa braterska zajądlność i przyszło do tego, że się wyzwali na rękę i Paweł zabił Polikarpa na tym właśnie hrudku, gdzie mu usypano mogiłę, którą lud Czerczą zowie... Ale cóż, z ówczesnych wykazuje się papierów, że go we wściekłości niepojętej tak porąbał w drobne sztuki, iż gdy pogrzeb sprawić przyszło na rozdrożu, bo go na smętarz ksiądz fanatyk wziąć nie chciał, ledwie garść kostek znaleziono... Dwieście lat temu, mości dobrodzieju — dodał adwokat — i śladu trupa nie będzie... jak dziś pamięci wypadku już nie ma.

Hawnul pobladł widocznie i słowa nie rzekł, nie wiadomo co tam jeszcze rozprawiali z sobą i co uradzili, dość że Wiła podjął się sprawy, wziął ją na siebie, i pan Samuel do domu odjechał wieczorem, papiery mu zostawiwszy.

Ale czy to wiadomość, że miał naruszyć mogiłę przodka swej matki, czy inny jaki powód, znacznie mu humor popsuł, tak, że do domu gdyby niemy powrócił, do żony nie poszedł, nawet i całą noc tłukł się bez snu jak Marek po piekle.

O całej tej historii, dotyczącej się Huńcewiczów nienawiści braterskiej i tragicznej śmierci jednego z nich, nikt zdaje się, w ołtolicy nie pamiętał, a tradycja, jak widzieliśmy, wcale inny przypisywała początek Czerczej mogile, ale że kopiec powszechnie mogiłą zwano, wieść o rozkopywaniu go wielkie zrobiła na wszystkich wrażenie.

Pan Stefan Wilczura nawet mocno się namyślał począł i skutkiem skrupułów jego sumienia było, że począł sam nakłaniać się do zgody, obawiając się, by z przyczyny jego uporu popioły umarłego ruszone nie były. Ztąd pan Filip miał polecenie do Żyrmuńskiego się udać i oświadczyć mu gotowość pojednania, co z potrzebną uczynił ostrożnością, ale jak widzieliśmy, krok ten zamiast dobrego przyjęcia, wywołał tylko ze strony Hawnuła zupełną odmowę. Całe sąsiedztwo wiedziało i to, że Wilczura od swego chciał odstąpić, byle mogiły nie rozkopywać, i że Hawnul się na to nie zgodził, uparcie stojąc przy poszukiwaniu prawem dyferencji.

Pan Stefan czysty na sumieniu, gdy się dowiedział, że polubownie do zgody przyjść nie może, zatarł ręce, zastanowił się chwilę i rzekł:

— Ha! no, dziej się wola Boża... niech na kaziciela spokojności spadnie zgwałcenie pokoju umarłych... chce dowodu szukać w mogile, będzie go miał.

Dzień wyznaczony na zjazd zbliżał się wreszcie, a z sądu wysłani być mieli podsędkowie Bruderkowski i Szumczykiewicz; oprócz nich sami aktorowie i obrońcy na gruncie stanąć zamierzali. Bruderkowski, który się

w urzędowych aktach podpisywał *per extensum* Jan Piotr Eustachy von Bruderhof Bruderkowski, był szlachcicem inflantkim, którego ojciec przesiadł się w te strony, ożenił bogato i nazwisko swe Bruderhof na Bruderkowskiego spolszczył. Śladu już w synu nie pozostało pochodzenia ojcowskiego, bo zrodzony i wychowany tu, nie w sobie niemieckiego nie zachował. Owszem sercem i duszą przylgnał do ziemi co go wypiaستowała; trochę tylko za wysoko cenił swoje *von*, do którego tytułik jakiś miał podobno prawo przyczepić; a zresztą najlepszy człowiek, urzędował zapalczywie, polował podobnie i od wszystkich był lubiony. Bruderkowski był maleńki, ryżowaty, okryty piegami, co za tem idzie, zdrów, rumiany, pękaty, uśmiechający się, co chwila powtarzał: *O! la Boga!* Kierowali nim kto chciał, bo nikomu nic odmówić nie umiał, nie żeby mu brak było głowy, ale że serce miał za miękkie i nie umiał wcale odmawiać, co go często w ciężkiem stawiało położeniu.

Szumczykiewicz, kolega jego, wielki i sławny we wszystkim minucista, stary gaduła, tem się tylko odznaczał, że cokolwiek czynił, mówił, myślał, musiał spełnić jak najsystematyczniej, jak najpункtualniej i wedle pewnego planu, od którego niepodobieństwem było go odciągnąć. Flegmatyk, powolny, potrzebował wiele czasu na decyzję, na ogarnienie przedmiotu, ale raz powziętej myśli nic mu w świecie z głowy wybić nie potrafiło.

W powiecie i palestrze znano go pod przydomkiem *Katona* lub *Impavidusa*: najnieznośniejszym był z powodu, że ani swojego ani cudzego nie żałując czasu, obojgiem szafował tak, że co inny w godzinę by zrobił, on na to potrzebował dni kilka.

Znamy już choć trochę pana Stefana Wilczurę i jego obrońcę Filipa Turzona, Hawnula i Matjasza Wile, możemy więc przewidywać jak zjazd i dukt na gruncie się odbył.

Było to w miesiącu sierpniu, a choć skwary ogromne, pogoda wytrzymała służąc żniwom i gospodarzom, słońce dopiekało jakby się spieszyło ogrzać ziemię, by przez zimę nie skostniała na wieki, lekki tylko wschodnio-południowy wietrzyk powiewał cokolwiek rzeźwiąc swym oddechem. Niebo miało tę barwę dymną, płową, jednostajną, która często poprzedza długą posuchę a z poza niej słońce to bladym kołem, to nad zachodem czerwonym kręgiem się okazywało. Jednego z takich dni, na brzegu sianożęci na pogrudziu zebrały się wymienione osoby. Oprócz nich i pisarza sądowego, sucherlawego i czarniawego człowieka, który się napijał, ale zdaniem tych co go znali, im bardziej napiły, tem lepiej obowiązek swój spełniał... cała gromada ludzi, podzielona na dwie kupy, stała opodal czekając inkwizycji.

Krasniańscy i Serebrzynieccy w milczeniu to na siebie, to na starszyznę spoglądali, przed którą z respektem odkryli głowy powygalane. Z wejrzeń, które na siebie rzucały gromady, znać było starą, sąsiedzką nienawiść, chociaż się na ten raz inaczej jak żartami, śmiechami i oklepanemi przycinkami nie objawiała.

Serebrzynieccy wszyscy mieli pasy czerwone, Krasniańscy czarne. Były to jakby znaki odróżniające dwa klany, po których rozpoznać ich w polu i lesie nawet każdy mógł łatwo. Oprócz tego pierwsi dostatniejsi, urodziwsi, lepiej wyżywiający się, handlarze, z niejaką wyższością i politowaniem spoglądali na Krasniańców mizernych, zapracowanych, białych i z cicha tylko im się odcinających,

nie tak dowcipem jak gniewem i łajaniem. Słabsi łatwo się niecierpliwią i burzą.

W pośrodku między gromadami stali wyznaczeni panowie zjazdowi, aktorowie, patronowie, świadkowie, pisarz i t. d.

Miejsce, w którem się to działo, dość odkryte, stanowiło skraj pól ornych, nad łąką od Krasnego się rozciągających; tuż w dolinie, łożą i krzakami olszyny poprzecinane leżało Pogrudzie, formujące jakby wyschły rękaw stawu, połączone z nim wodocieczą, która wpadała w trzęsawisko wiszarami zarosłe, około kamienia zwanego Łycho, i ginęła z oczów w trzcinach i sitowiu, zalegających szeroko brzegi ogromnej tej wody.

Z jednej strony widać było stawów, daleko się ciągnący, a po nad jego brzegami wioskę Serebrzyńce, pasmem chat niskich i czarnych rozsadaną na piasku. Z drugiej las sosnowy, z którego występowała stara sosna graniczna, zwana Barcią Semenową, na uroczysku Wilczopole.

Semen ten, od którego imienia barć się zwała, musiał być pierwszym co ul do niej przyczepił, na jej silnych gałęziach stały dziś kilka późniejszych, ale już do żadnego nie należały Semen. Drzewo grube, gładkie, ku górze dopiero rozpinało konary szeroko i wieńczyło się zieloną, kształtną koroną. Na bokach jego widać było na korze co roku odnawiany znak krzyża świętego, który inne pogańskie zastąpił, głęboko wcięty i aż do żywego obnażający je rdzenia. Obok z rzadka stały córki poważnej owej barci, niedorównywające jej ani wzrostem, ani powagą, ani wiekiem, a tuż i las tłumem różnych drzew i gęstwina swą zieleniał. Fizjognomja jego była czysta, poleska, mało trawy, rzadkie kwiaty, ziemia

zasypana spadłemi igłami sosen. kolczastemi szyszkami, suchemi gałązkami, a gdzieniegdzie przy dołach świnie bagno. wyżej krzaczki czernic i bruszniczy. Pod wypalonemi tylko pniami zasiewały się dzwonki, dziewanny, przetaczniki i złocisto kwitnące świętojańskie ziele. Ku środkowi łąki, za ruczajem, w pośród krzaków łożyny i olszyny, rozpiechłych w kupkach malowniczych, była maleńka, suchsza wysepka zielona, a na niej wznosiła się owa Czercza mogiła, nie wielki usyp kragły, stożkowaty, z zapadłym już wierzechem, w około obrosły krzakami. Widać go było dobrze z miejsca, w którym stali panowie sądowi i nie jedno oko bojaźliwie go zmierzyło.

Cały przestwór spornego gruntu leżał tak widocznie przed oczyma wszystkich, że nie było co sobie zadawać pracy i prowadzić dukty i redukty. Termin *a quo i ad quem* były wyraźne: chodziło tylko o termin *per quem* i o to cała się rzecz rozbijała.

— *Attandem* — rzekł Kato Szumczykiewicz biorąc się do papierów — cóż tedy robić mamy? Plan potrzeba zakreslić, kolej czynności oznaczyć i *summa cum diligentia, incipere*, bo na słońce tu Jozuego nie mamy, a z dnia na dzień odkładać i przerywać *opus*, nie widzi mi się. *Bis dat qui cito dat*, dajmy tedy spokój rychło, ichmościom rozpierającym się...

— Ale ba — rzekł Bruderkowski — tu krótka czynność nasza, termina dwa nie sporne, trzeci wątpliwy, sprawdzić go i basta.

— *Attandem* — odparł Kato — nim dójdziemy do tego... wprzódzy zeznania gromad zebrać potrzeba.

— *O! la Boga!* — zawołał Bruderkowski — toć nie zabawi.

— Ale od której zaczniemy? — spytał Szumczykiewicz.

— Która z brzegu!

— Powoli kolego. nie tak żywo! Rzecz to nie małej wagi. ludzki *intellectus* słaby i łatwo się uprzedzający. rzecz wcale obojętna nie jest, która gromada rozpocznie.

— Pociągniemy na węzelki.

Szumczykiewicz się zamyślił.

— Ale co tu zeznania gromad pomogą — przerwał pan Stefan Wilczura — wprzód spytajcie panowie. czy przeciwna strona kontentować się niemi będzie. jeśli mogiłę powiedzą mogiłą nie kopcem?

Hawnul i jego obrońca coś się z sobą naradzać poczęli, poszeptali i Wiła odezwał się za pryncypała, że w żaden sposób na zeznaniach gawiedzi poprzestać nie mogą.

— Wiadomo panom — rzekł spokojnie — jak tradycje u ludu podlegają zmianom i pamięć rzeczy przeszłych się zaciera. na tem nic budować się nie godzi.

— A zatem — przerwał Kato — chcecie panowie rozkopywać?

— Chcemy nie chcemy, bo któżby chciał *temere* ludzkie zwłoki poruszać, ale że nam się ta mogiła mogiłą nie widzi, i zmusza nas do tego obrona własności. będziemy musieli.

— Co do mnie — rzekł pan Stefan — z mojej strony oświadczam, że jakkolwiek o świętości sprawy mojej przekonany jestem. dla uniknienia pogwałcenia pokoju grobów. chętnie raz jeszcze ustępuję połowy łąki, byle nie naruszać spoczynku zmarłych.

— Ja nic nie ustąpię — odparł zacięcie pan Hawnul — ani piędzi!

Sędziowie naradzili się między sobą i przywołano gromady.

Na świadectwo wybrani byli umyślnie i w duchu prawa, ludzie co najstarsi i we wsiach pod innemi względami z uczciwości znani, na których zeznaniach polegać było można. Na twarzach ich widać było zwątpienie, obawę, smutek, gdyż wieśniak przywykł wszystkiego się lękać, niedowierzać wszystkiemu i najmniejszej zmiany dla przyszłości się swojej obawiać. Tu zaś dwa uczucia w nich się z sobą spierały, cześć dla umarłych i bojaźń zemsty od tego, komu by się zeznaniem narazić mogli. Namawiano ich potajemnie, ażeby dowodzili, że mogiła jest kopcem, ale namowy te zbyli milczeniem tylko upartem i starsi na chwilę przed wezwaniem do sądu postanowili powtórzyć przed nim to, co z tradycji o kopcu do nich doszło. Krasniańscy że za panem i za sobą mówić musieli, w wielkim byli kłopotcie, gdyż i pomiędzy nimi krążyła wieść i tradycja o Czerczej jako o mogile, ale srogi zakaz Hawnula zamykał im usta.

Kiedy więc przyszło do zeznań i pierwszym im mówić kazano, wysunęli się kupką z miną zafrasowaną i stanęli jak winowajcy, bojaźliwem okiem mierząc indagujących.

— Moje dzieci — rzekł Bruderkowski poważnie — wiecie po co wezwani jesteście, i że przysięgą zeznanie potwierdzić przyjdzie, mówcie więc nie co wam potrzeba, ale jak pan Bóg przykazał, szczerą prawdę, bo i łaki nie dostaniecie kłamstwem i duszę zgubić możecie.

To mówiąc wskazał ręką na kopiec i zapytał: — Co wiecie o kopcu tym i granicy?

Najstarszy siwobrody poleszук, człek wiekowy, sparł się na kiju, popatrzył po przytomnych, podumał. ręką

dał znak gromadzie, żeby milczała i w te słowa się odezwał:

— Co tu dobrodzieju mówić? z nas nikt dobrze nie wie, czyja tu prawda! Z dawien dawna kłóciliśmy się o granice. Serebrzyńce z Krasnem. a nikt nie pamięta z czego to poszło. Ja starych czasów jestem, a tyle słyszałem co i synowie i wnuki. Ten tak mówi, drugi inaczej... a pan Bóg jeden wie, kto praw...

— No, ale jakżeście słyszeli, czy to kopiec czy mogiła?

— Jedni rozpowiadają że kopiec, a drudzy mówią że mogiła — odparł stary oglądając się na pana, który się zżymał — kto tu dójdzie czyja prawda?

— No, a wam jakże się zdaje! — przerwał Bruderowski niecierpliwie — o la Boga nie bałamućcie.

— Co ja wiem! — szepnął staruszek — może to i kopiec.

— A widzicie państwo, świadczą najstarsi, że to kopiec — podchwycił Wiła.

— Proszę nie przerywać — podnosząc łaskę rzekł Szumczykiewicz — i zostawić nam wnioskowanie. Mówcie drudzy.

Krasniańscy spojrzeli po sobie widocznie pomieszani, bo im się kłamać nie chciało i młodszy któryś wziął się na fortel.

— Czy to kopiec czy mogiła — odpowiedział — co mam wiedzieć, jaśnie wielmożny panie, a to pewna, że za ojców, dziadów i pradziadów naszych zawsze z dawien dawna granica nasza szła od kamienia Łycho przez Czerczę do Semenowej Barci. Serebrzynieccy się wdzielali, bitwy były i nieszczęścia, nie jeden życiem przepłacił, ale wszyscy wiedzą i sąsiedzi i swoi, że Pogrudzie należy do Krasnego.

— No! a jakże nazywacie to? — zapytał Szumczykiewicz wskazując kopiec na łączce.

— Czercza mogiła! — odparł wieśniak zająkując się i ledwie wymówiwszy słowo, już żałując że się z niem mimowolnie wyrwał. Hawnul nogą ze złości tak uderzył o ziemię, że z pod murawy czarna się ziemia wilgotna pokazała w tem miejscu, a Turzon poskoczył żywo i zwrócił zaraz uwagę sądu na zeznanie gromady strony przeciwnej.

— Oto jest — rzekł żywo — promyk światła, który pada z łona ciemności, prześwietny sądzie, prosimy o zapisanie zeznania. Prawda wyrwa się z ust stłumiona i chłop inaczej jak mogiłą nazywać nie umie tego mniemanego kopca.

Zgiełk się stał i zamieszanie, gdyż i chłopci pomiędzy sobą waśnić się i spierać i Hawnul z Wiłą i z nimi poczęli się ujadać, i sądowi różnie interpretować wyznanie.

Inni Krasniańscy usiłowali poprawić co zepsuła szczerść pierwszego, ale i im kłamstwo z ust wychodzić nie chciało, krążyli, wykłamywali się od wyraźnego świadectwa, bałamucili i *summa summarum* z zeznań ich nic wyciągnąć stosownego nie było można. Gdy się to dzieje, gromady Serebrzyniecka i sąsiednie z Obodów, Smolnego i Żabiego stały, patrzyły i uśmiechały się.

Przyszła na nie kolej odpowiadania, i mimo wykrzykiwania Wiły, mimo wybuchów Hawnula, jasno się okazało z powieści, że kopiec od wieków nosił nazwanie Czerczej mogiły, lub mogiły na Pogrudziu, że nigdy nie był granicznym i od niedawnych dopiero czasów użyty został do sporu o łąkę. Chłopi opowiadali jedni o zabiciu od piorunn kniazia Czernego, drudzy o śmierci jakiegoś

Czernca, który się tam miał obwiesić, inni wreszcie o bitwie dwóch braci między sobą, ale osobliwszym trafem o Huńcewiczach, Pawle i Polikarpie, ich zajściu i powieści, żaden ani wspomniał. Taka jest natura umysłu ludzkiego i natura ludowych podań, że w nich z rudy rzeczywistości przetapiać się musi wszystko na poetyczne złoto i co wczoraj było opowiadaniem wypadku, nazajutrz staje się poematem wyrastającym zeń, ale już do niego nie podobnym, już daleko wyższym i piękniejszym od niego. Sąd nad ogółem tych powieści zastanawiając się i biorąc na uwagę nazwę miejsca, gadki sąsiadów, zeznanie samych Krasniańców, przychylić się musiał na stronę tych, którzy Czerczą mogiłę mogiłą nazwali, nie było sposobu widzieć w niej kopca granicznego. Hawnul tylko i Wiła obstawali przy swoim, pierwszy nie tłumiąc wcale gniewu, który go opanowywał, drugi usiłując w żart i wzgardę obrócić rezultat indagacji.

— *Attandem* — odezwał się Szumczykiewicz — co z tego wszystkiego jasno się i wyraźnie okazuje, oto że mogiła mogiła, i że waćpan dobrodziej — obrócił się do Hawnula — człowiek u nas nowy i z miejscem nieobeznany, dałeś się uwieść pozorem.

— Mości panie — rzekł Hawnul marszcząc brwi — słowo wiatr... ja przekonanie moje gruntuję na dowodach zasadnych, a dla okazania prawdy proszę o rozkopanie.

— Tak jest, prosimy sądu o rozkopanie — dodał Wiła — ludzie plotą co im ślina do gęby przyniesie, chłopstwu byle co wmówić można... prosimy o rozkopanie.

Pan Stefan z Turzonem milczeli już. Sąd tedy naradzać się począł i po chwili zadecydowano udać się na miejsce dla przekonania.

Nie łatwo to jednak wykonać przyszło, gdyż Czercza

otoczona była zewsząd mokrą sianożęcią, która innych lat nie bardzo była dostępną, a tego lata, że słoty wiosną panowały, cała pokryła się wodą. Ten i ów wymawiać się począł od pielgrzymki przez rndy i zapadliny i skakania po kępach, a Bruderkowski wręcz oświadczył że nie pójdzie. Sumienność Szumczykiewicza nie dozwoliła mu się uciekać do powodów, które innym posłnżyły do uwolnienia. Z zimną krwią zrzucił buty, zakasał hajdawery i nie tracąc powagi, wdział chłopskie postole, których par kilka na wypadek przygotowanych już było. Toż samo uczynili wszyscy interesowani, wyjąwszy Hawnnla, który jak stał tak się puścił przez trawy i wody wprost na miejsce, Wiłę za sobą ciągnąc. Szumczykiewicz, pisarz i gromady, którym iść do Czerceję kazano, ruszyły kołując ku Semenowej Barci naprzód, od której przerznąć się do mogiły łatwiej było i mniej trzęsawiska do przebycia zostawało. Pan Stefan Wilcznra milczący poszedł z Turzonem, po cichu się naradzając.

Na twarzach wszystkich znać było w miarę jak się stanowcza chwila zbliżała. obawę jakąś niepewności i zabobonny przestрах. Jeden Hawnul z Wiłą poszedł przodem, żywo rozprawiając i ani zadrżał na myśl, że przez świętokradzki upór, popioły zmarłego naruszy. Uczucie obawy najwidoczniej malowało się na twarzach wieśniaków, szczególnie Krasniańców, przeczuwających, że im do tego dzieła nieprawości ręki przyłożyć przyjdzie. Nieśli się z rydlami powoli, a pod Semenową barcią kilku z nich korzystając z krzaków, drapnęło cichaczem do domów.

Wśród błotka, na maleńkiem podwyższeniu, wznosił się kopiec ów, o który się spierano, dość szeroki obwód zajmując, cały zieloną darnią okryty, u spodu opasany

był łożą, krzakami i bujnemi chwasty. Miał on kształt mogił zwyczajny, stożkowaty, a wierzch jego był zakłęsły nieco, jakby zapadły, sama wielkość wskazywała zresztą, że to nie był kopiec graniczny, gdyż te zwykle nie zbyt wyniosłe sypano. Wiła, który najpierwszy wszedł na wzgórze, choć doskonale i lepiej od innych wiedział czyje zwłoki pokrywała mogiła, wklęsłość jej u góry tłumaczyć począł wbiciem wielkiego pala, który gdy wygnił, ślad jego w ten sposób oznaczony pozostał.

— A palów — rzekł — nie wbijano przecie na mogiłach, to rzecz wiadoma.

— Ale stawiano na nich krzyże — odparł rozsądnie Szumczykiewicz, który systematycznie usyp obchodził i badał.

Inni przytomni zatrzymali się trochę opodal i z trwogą poglądali na mogiłę.

— A zatem — zawołał podsędek — jeśli waćpanowie przy swoim obstajecie i dowodu potrzebować nie przestajecie, przystąpimy do roboty.

— Obstajemy i prosim o rozkopanie! — rzekł uparty Hawnul.

— Żądamy rozkopania dla niedowiarków — powtórzył Wiła — chociaż i bez niego jasna, że to jest nie co innego tylko kopiec. — Obejrzał się Szumczykiewicz ku ludziom, by ich wezwać do dzieła, ale Krasniańscy poczuwając się, że im tu nie komu kopać przyjdzie, powołani, przykładem kilku zbiegłych w barci Semenowej, wszyscy drapnęli.

Hawnul w gniewie miotając przekleństwa, chciał się gonić za nimi, ale go Wiła powstrzymał jakoś.

— Nowy dowód — rzekł nie zważając na nic Szumczykiewicz — że lud to miejsce mogiłą być sądzi, boćby

inaczej takiego do rozrzucenia kupy ziemi nie miał wstrętu.

— Panie sędzio, albo to pan nie wiesz ile zabobonów i przesądów u tej czerni -- podchwycił Wiła. — Taki dowód jest dowód żaden! wprost potajemne frymarki strony przeciwnej.

Pan Stefan Wilczura wstrząsł się, ale powstrzymał bacznie; a Turzon gładząc wąsa, plunął i rzekł:

— Będziemy prosili o dowody zadanych nam frymarczeń i przekupstwa, bierzemy przytomnych za świadków.

Wiła z pogardliwym uśmiechem ruszył tylko ramionami.

— Do kopania! do kopania! — zawołał podsędek — bo czasu nam na to nie stanie. — Ale gromady Serebrzyniecka, z Obodów, Smolnego i Żabiego ani się ruszyły na zawołanie.

— Dobrodzieju — odezwał się starszy — komu to nie mogiła niech ten sobie rozkopuje, nas żebyście i pozabijali, żaden jej nie ruszy.

Wszyscy spojrzeli po sobie, ale Hawnul najstraszniej się zmienił, targany wciąż będąc i jątrzony niepomyślnym sprawy obrotem; aż przykro było widzieć twarz jego wywróconą, przeciągniętą, oczy zapalone gniewem wewnętrznym, drżące wargi i uśmiech zjadły, który po nich błądził. Z rękami nie wiedział co począć, to je chował, to wyjmował, to ścisnął w pięści, to wyciągał palce, brał się za rękojesć szerpenty, za pas, zarzucał wyloty, chwycił za czuprynę a ruchom tym odpowiadały nogi, któremi trawę zgniótł pod sobą i rozkwasił, tok ubijając niemi.

— Niech sąd rozkaże, a ludzie kopać będą musieli — rzekł Wiła.

— Mości panie—odparł Szumczykiewicz—temu robić komu to ma dogadzać, wy chcecie rozkopania, wy myślcie kto ma kopać. Sąd wyrokuje zgodnie ze życzeniem waszem, a środki wykonania wam zostawia. Nie słuszną byłaby używać ku temu tych, co z uczucia religijnego i szanownego ze wszech miar, taki wstręt ku temu mają.

Paweł Żużel stał za swoim panem, któremu towarzyszyć był zmuszony i Hawnul do niego się obrócił, bełkocząc niezrozumiale, tak nim już pasja miotała.

— Na koń wsiąść, do wsi i bizunem mi tu ich spędzić wszystkich szelmów... a duchem... waćpan mi za nich odpowiesz...

Nie było sposobu. Żużel musiał nazad się do Semenowej przebrać barci, potem gdzie stały konie i dosiadłszy chabeta popędził do wioski, choć zrazu nie wiedział jak rozkaz spełni, i wstręt miał przymuszać, widząc, że ludzie tak się obawiali rozkopywać mogiły. W pół drogi jednak poczynawszy myśleć, ciężar i winę całą zrzucił już na pryncypała, a że był człowiek przebiegły, wprost się ndał do karczmy.

Tu istotnie kilku już zastał wcześniej zbiegłych, a tłum ciekawych, którzy od nich przyszli o sprawie zasięgnąć wieści, ale by się byli rozbiegli wszyscy, zobaczywszy go i przewąchawszy, po co został posłany, gdyby nie użył fortelu. Konia przywiązał za karczmą do wierzby, sam tyłem wszedł do komory żydowskiej, arendarza wysłał, żeby drzwi zatarasował, i dopiero wówczas do szynkowni wkroczył. Ten i ów rzucił się do drzwi zaraz, ale Żużel począł ich mitygować.

— Posłuchajcie-no — zawołał — a potem zechcecie to idźcie do miljona krośset gdzie się wam podoba. Wiecie że pan nie żartuje, a jak się pogniewa, to gniew na

waszych karkach poczujecie nie raz jeden. To nie żart.

— Panie Pawle — odezwali się starsi gospodarze — do kopania mogiły nas nie przymusicie.

— A co to wam od tego ręce poopadają czy co? — rzekł Żużel — czy to wasza będzie wina, kiedy pan kazał? Pan każe, sługa musi.

— Lepiej pana pogniewać niż Boga — odparł stary jeden — to się nie godzi.

— Słuchaj Semen — przerwał Paweł — nie myślcie, żeby to były żarty, z panem ich nie ma — nie posłuchacie to i ze wsi się chyba wynoście. Tu nie ma co żartować, bo się na całej gromadzie mścić będzie. Wy go tak nie znacie jak ja...

Chłopi zafrasowani spojrzeli po sobie, a tuż wniesiono wódkę, którą przemyślny Żużel dać kazał i sam z kieliszkiem w rękę częstować rozpoczął w koło od najstarszych.

— Do ciebie Semen, a wy macie rozum — rzekł do gospodarza najwięcej mającego wpływu na gromadę — wy rozumiecie to, kiedy starszy co każe a słuchać go mnsisz, to grzech kiedy jest, na starszego nie na was pada. Gromada powinna pamiętać o sobie, bo nasz pan nie daruje... kiedy trzeba to trzeba... i ja temum nie rad, a co robić, *skaczy wraże jak pan każe*.

Chłopi pokiwali głowami, ale Semen się odezwał:

— A wy nie wiecie co to mogiłę rozkopać i nieboszczyka poruszyć? Nie słyszeliście co się stało w Gruszej górze, będzie temu lat sto a może i więcej, toć wszyscy ludzie wiedzą.

— Nie, nie wiem.

— No, to posłuchajcie, i małe dziecko wam powie na około o mil dziesięć. Na polu garncarza była mogiła,

ale mniejsza od Czerceji... i tak mu siadła że ją oborywać musiał, a najlepszy kawał gruntu zajmowała. Z dziadów pradziadów nikt jej nie ruszał, nawet krzyż dawniej stał na niej, ale wypruchniał i powalił się. Garnarczowi zaświtało coś w głowie, jakby nie ta mogiła, miałbym więcej kopą żyta albo i dwoma.

Mogiła już się była w ziemię zapadła, nie bardzo była znaczna, jak zaczął przedumywać, tak se zmyślił rozorać i rozkopać.

Starzy ludzie we wsi mówili mu, taki nie ruszaj i nie ruszaj, lepiej mniej a bezpieczniej. Ale garncarz nie słuchał, wyszedł z pługiem i choć twarda była skiba, bo ziemia nie ruszana od wieków, całkiem ją porznął. W biały dzień wszyscy na to patrzali i dziwowali się... Poszedł potem z rydlem i do reszty rozrzucił, ale choć śmiał się i ochoty sobie dodawał, widać, że i jemu samemu było markotno. gdy się dobrał do kości i potłuczonych garnków, które leżały na spolzie. Nie dalej jak nazajutrz jak się pocznie bieda walić, zachorowała żona, pokładły się dzieci, pomorek na bydło, grad na polu... Dopiero nieborak się opatrzył, że licha nawarzył. Dawaj na nabożeństwo, na ubogich, ale nic nie pomogło, chata zniszczała ze wszystkim i pole porosło brzezina, bo go się dziś nikt nie tknie, żeby mu go darowano. To chciecie żebyście sobie naprowadzili biedy, rozkopując Czerceją mogiłę, na całą wieś, na dusze nasze, na chudobę i na dzieci! Dajcie pokój.

— Wyście rozumni ludzie — odpowiedział Żużel częstując gospodarza — wam nie trzeba tak długo tłumaczyć, że to co innego, a to co innego wcale. Garnarcz zrobił przez chciwość i pan Bóg go pokarał, a wy zrobicie przez posłuszeństwo, żeby sobie pana nie narazić.

A jakby i było złe, to przecie nie na was niewinnych ono spadnie, ale na tego kto dysponował. Toć i mnie dusza miła, nie namawiałbym pewnie, żebym nie wiedział, że ani mnie ani wam ta sprawa nie zaszkodzi.

Nie wiem czy wymowa Żuźła, czy może wódka i siła jej przekonywająca, sprawiły przecie, że gromada po długiem wahanu i wzdraganiu dała się namówić do wzięcia rydlów i ruszenia z ekonomem ku Czerczej mogile.

Tu w oczekiwaniu przybycia jej sąd się rozłożył na murawie, strony pozbierały w kupki dla narady, a Hawnul jeden, któremu niespokojność charakteru miejsca zagrzać nie dawała, szerokimi krokami mierzył wzdłuż i w szerz kawał gruntu, na którym ta scena się odbywała. Coraz to spojrzał ku wsi i drodze, a nie widząc spodziewanych wieśniaków, zaciskał pięści i rwał suknie na sobie.

Już by był może wybrał się sam za Żuźlem, gdyby wreszcie dobrze podpiła gromadka Krasniańców nie zjawiała się pod Semenową barcią. Na widok jej Szumczykiewicz powstał i raz jeszcze zwrócił się do Hawnula.

— Mości dobrodzieju— rzekł— nie jako urzędnik ale jako współ-obywatel, pozwól, bym przemówił za zgodą.

Hawnul machnął ręką.

— Zgoda będzie— odparł— jak moje oddadzą... o innej słuchać nie chcę.

— Sąsiedzie! — zawołał z daleka Wilczura — dajmy pokój zwłokom umarłych i rozetnijmy dyferencję po połowie...

— Śnią się waszmości umarli — śmiejąc się przerwał dziedzie Krasnego. — Kiedy strach to czemu całej sianożęci nie oddasz?

Wilczura umilkł.

— A zatem? — spytał Szumczykiewicz, badający wzrok rzucając w koło.

— Co ma być niech się stanie! — dodał Hawnul.

— Prosimy sądu o dalsze przeprowadzenie dowodów jako mniemana mogiła jest kopcem granicznym, dorzucił Wita, z ukosa patrząc na Hawnula.

— Niechże będzie jak sami chcecie! — zawołał Szumczykiewicz.

— Tak! stań się wola wasza. — rzekł Wilczura, — ale zanim się stanie biorę wszystkich przytomnych za świadków. jakom ja nie dał powodu do świętokradzkiego czynu i wszelką przed Bogiem i ludźmi odpowiedzialność zań, zrzucam na kogo spaść powinna.

Hawnul uśmiechnął się tylko, wieśniacy właśnie strwożeni. pozrzucawszy czapki i świty przystępowali z rydlami; a przytomni kołem otoczyli z zaostrzoną ciekawością tajemniczy ów kopiec.

— Sąd na żądanie wielmożnego Samuela Hawnula, dziedzica wsi Krasne. nakazuje rozkopanie kopca, zwanego Czerczą mogiłą, — zawołał Szumczykiewicz.

— Do roboty! — krzyknął Hawnul niecierpliwie, — mospanie Żużel, napędzaj!

W milczeniu, przestrachu i nie bez wstrętu jeli się podpili włościanie rydlów i pierwszą warstwę murawy zdzierać poczęli z pagórka. Otaczający obstąpili ich, poglądając na każde uderzenie o ziemię, na każdą garść którą na bok odrzucano.

Kopiec nasypyany był z piasku i gliny otaczającej i nie w nim zrazu nie dozwalało się domyślać pogrzebionego ciała. Najmniejszego nie było szczątku, najdrobniejszej resztki, mającej jakieś znaczenie. W miarę jak

się zniżał wierzchołek, jak się obnażały boki, Matjasz Wiła wciąż powtarzał:

— Proszę uważać, jestli tu najmniejsza suspicja grobowa? gdzie trup, gdzie kości? kopiec mości dobrodzieju! Grób choć wiekowy nie pożre tak ciała, by po człowieku choć ślad nie pozostał... tu nic! tu nic... krom szczerej ziemi.

Reszta przytomnych, Hawnul nawet, milczał zamyślony; kopano dalej.

— Zdaje mi się że byłoby tego dosyć, — dodał Wiła, gdy doszli do pół wzgórka, daremna dalej robota, jak nic nie było, tak nic nie będzie.

— Za pozwoleniem, — odparł systematyczny Szumczykiewicz, jeśli się co robi, potrzeba dokonać wedle prawa i formy. Wiemy to że ciała chowano na samem dnie, na równi z ziemią. przysypując je potem pagórkami; wiemy też że żuźle, węgle, lub kamienie oznaczające kopiec graniczny, dopiero na dnie znaleźć się mogą, zatem co poczęto, dokończym.

— Robota daremna, — rzekł Wiła.

— Zobaczymy, — odparł Turzon, — nie mów hoc kolego, aż przeskoczysz.

I znowu nastąpiło milczenie długie, a pot łał się z czoła pracujących, którzy zbyć się chcąc nienawistnej roboty, z gorączkowym pospiechem odrzucali coraz nowe warstwy ziemi.

Już byli wkopali się w głąb, pośrodku mogiły, brzegów nieco zaniedbując, i przytomni z wlepionem okiem poglądali w dół, który rydle coraz dalej dobywały, gdy jeden z włóścian krzyknął, rzucił rydel i odskoczył.

— *Bihme!* — zawołał, rydel uderzył w coś twardego.

— Kamień, — rzekł pospiesznie Wiła.

— Kopać dalej! — odezwał się Szumczykiewicz. — a ostrożnie.

— Trumna! trumna! — krzyknął chłop drugi.

— To być nie może! — zawrzał Hawnul... — to być nie może!

Zrobiło się chwilowe zamieszanie i byliby może chłopci pouciekali znowu, gdyby ich starszyna nie ostapiła i podsędek dalej kopać nie przykazał. Z ostrożnością więc szła dalej robota, a kiedy niekiedy stuknięcie rydlów o coś twardego obiecywało prędkie przekonanie o charakterze usypu i tem co w sobie zawierał. Zaczęto odrzucać glinę po troszę, zaczerniał spód i powoli z łona piasku i brył zsiadłych poczęło się ukazywać ciemne jakby wieko trumny, którego kształt podłużny wątpić nie dozwalał o znaczeniu.

— No cóż! — zawołał Wiła, — wielka rzecz, zgniła deska dębowa, to się i w kopcach znajdować mogło, różne były obyczaje przy oznaczaniu granic.

Nikt na tę apostrofę nie odpowiedział i sam Wiła umilkł nagle, gdy końcem rydla nieostrożnie podważone proste wieko przegniłej trumny, usuwając się na bok, widokiem niespodziewanym przeraziło wszystkich.

Trumna obnażona, była jednym kłosem starego dębu, wyżłobionym ręką ludzką na kształt koryta, wylanego grubo smołą. W niej pokryte wiekiem z jednej grubej deski spoczywały zwłoki jakieś, dziwnie cało dochowane pod suchym piaskiem w smole i drzewie opiekuńczem.

W jednym końcu leżała jakby odcięta głowa, obciągnięta jeszcze gdzieniegdzie przyschlą czarną skórą, pokryta czapką z galonkiem poczerniałym, śmierć nadała jej wyraz szyderski i straszny. Czarne oczów otchłanie, białych zębów dwa rzędy i policzki zapadłe, pościągane,

zmarszczone zdawały się śmiać z żywych, miotając ku nim groźbę z za świata. Hawnul który stał w nogach, wprost pierwszy spojrzeć musiał na dobytego nieboszczyka i mimo że po sobie tego nie pokazał, pobladł z przerażenia które starał się pokryć uśmiechem niezręcznym. Wiła zaciął wargi i spuścił oczy.

Oprócz tej poczwornej trupiej głowy widać było w dębowej owej skrzyni i inne reszty słusznego wzrostu znać i ogromnej postawy mężczyzny, na nogach resztki butów czerwonych, w koło pasa jakieś mosiężne łańcuszki, ale członki nie leżały w porządku jak były powinny. czy to że je uderzenie rydlów roztrąciło, czy z innego jakiego powodu. Jedna ręka odpadła od ramienia. w poprzek na nogach rzucona była. druga aż po za głową.

Na żebrach uchowały się resztki odzieży która przybrała barwę brunatną, grobom właściwą, powlekającą kości, szaty i wszystko co ziemia w sobie pochłonie.

Wieśniacy cofnęli się i popadali na kolana. zobaczywszy straszną twarz nieboszczyka, a za ich przykładem wszyscy obecni mimowoli poklękli, pozdejmowali czapki i cicho poczęli odmawiać Aniół pański. Jeden tylko Hawnul cofnął się w tył i stanął opodal nie mówiąc słowa, przybity, gniewny, okiem zjadłości pełnem mierząc Wilczurę, który się najgoręcej modlił na brzegu przeciwnym mogiły.

Nie rychło po doznaniem wrażeniu zebrał się Szumczykiewicz usta otworzyć.

— Mości panowie — rzekł, dobywając talara z worka, oto mój datek na żałobne nabożeństwo za duszę nieboszczyka, złożmy się acz niewinni na modlitwę, a zapiszmy świadectwo które wydał...

I pan Stefan Wilczura i Turzon i inni, aż do włóścian rozwijających z węzełków zapaśne groszaki. aż do Matjasza Wily, który dał berlinkę. wszyscy w milczeniu przyczynili się do składki, która na ręce pisarza sądowego tymczasowo oddana została. Hawnul nie wiem czy słyszał o czem była mowa, bo stał z boku, i nie sięgnął do worka.

— A teraz — rzekł Szumczykiewicz, — zacisnąć wieko, i zasypać zwłoki... My tu już nie mamy co robić dłużej... Władza miejscowa dopilnuje reszty...

To mówiąc zakasał poły członek sądu i zabrawszy z sobą wszystkich. pociągnął przez błotko na miejsce, gdzie Bruderkowski stekając: O la boga! co chwila oczekiwał rezultatu poszukiwań, niecierpliwiąc się i kraciastą chustką przykrywając od spiekoty.

Hawnul który w dalszem prowadzeniu sprawy nie dla siebie pomyslnego nie przewidywał, pozostał jak przykuty przy mogile, to stojąc słupem nad nią, to obiegając ją do koła. Może obawiając się wybuchu jego gniewu, czy też dla dopilnowania się dalszego, Wila nawet pociągnął za Szumczykiewiczem, tak że zostawili go samego na hrudku z Żużlem i gromadą zasypującą ową nieszczęsną mogiłę.

Paweł i ludzie którzy mu towarzyszyli z obawy rozjątrzonego pana, słowa się odezwać nie śmiejąc, nazad odrzuconą zasypywali ziemię, spoglądając tylko niekiedy na dziedzica, walczącego jeszcze z wrażeniem jakie na nim wywarł ten wypadek.

Dziki jakiś śmiech przejął ich dreszczem, obejrzeni się i zobaczyli Hawnula, który plunawszy na mogiłę, krzyknął:

— Djabeł że was bierz żywych i umarłych psie syny!!

I to powiedziawszy nie ku gromadce sądowych, ale wprost przez błoto i trzęsawiska żywo widać go było pospieszającego ku dworowi; po chwili znikł im z oczów w gęstych zaroślach.

Już się łatwo domysleć jaki był dalszy tok sprawy; Szumczykiewicz podyktował akt rozkopania i natychmiast redukt przeciwnej strony poprowadzono, idąc nad wodocieczą do prawdziwego kopca granicznego w roku 1611 usypanego, od którego linja do Semenowej Barci na uroczysko Wilczopole wraz z strumykiem zajęła do Serebrzyniec całą sianożęć na pogrudziu. Kopiec stary acz mało znaczny i zapadły, choć zeń pał dębowy wyjęto dawno, wskazany został przez chłopów Serebrzynieckich, opatrzony, i za termin *per quem* uznany; sianożęć przysądzono panu Stefanowi Wilczurze.

Wiła w imieniu pryncypała swego, który się już sam nie pokazywał, wykrecał się różnie, podstawiał mappy, wynajdywał dokumenta, a zwłaszcza jeden polubownej zgody nie ze wszystkiem formalny, ale pozornie stary. Nic to już nie pomogło. Dekret stanął czarno na białem, przyznający własność Serebrzyńcom i nakazujący sypanie kopców nowych.

Pan Samuel już się więcej jawnie nie pokazał i widomie nie czynił nic przeciwko sąsiadowi, puściwszy sprawę dalej porządkiem prawnym, ale bez końca psot wyrządzał Serebrzyńcom, co mu zresztą z nawiązką oddawał Stefan Wilczura, który do tego rodzaju wojny partyzanckiej wiele miał sprytu i ochotę niezmyśloną. Zajmowało mu to przyjemnie chwile, któreby był darmo

przeziwał u komina. Trzeba bowiem wiedzieć, że w Se-rebrzyńcach kiedy gości zabrakło, zajęcia, zabawy i pracy co się nie rzadko trafiało, bo z natury swej Wil-czura był czynny, i rzadko gnuśniał w spoczynku; ko-min naówczas poleski był mu towarzyszem samotności i pociechą w tęsknocie. Mało w którym na Polesiu dworze nie znajdziesz tego komina, będącego zabytkiem może starych Zniczów tej krainy. Jest to ogromna, przysadzista budowa, w poufałej umieszczona komnacie, na której dnem i nocą, zimą i latem goreje płomień niewygasły. Kładą nań grube, suche kłocce umyślnie przysposobione i utrzymują niemi niewygasły ogień, który nigdy nie bucha płomieniem wysokim, ale też nigdy nie ustaje. Przed nocą kłody tak się zwykle wyrachowują, żeby do ranka przykładać nie było potrzeba, a o świetle na żarzące węgle nowy pokarm przybywa. Olszyna i brzezina podsycają ten stos, który widocznego żadnego nie przynosi pożytku, a zimą kradnie ciepło z pokoju, ale z niego węgle roznoszą potrzebną podpałkę po całym dworze, i światelko to czuwa po nocach nad pustem domostwem. Przy takim to ognisku pan Stefan zwykł był czasem długie spędzać godziny, zadumany i smutny, nogę założywszy na nogę, z oczyma wlepionemi w niebieskie płomyki, igrające na pąsowych węglach olchowych. Tu układał projekta wypraw, polowań, wyjazdu w sąsiedztwo i zabawy, tu go szukano gdy w domu nie stało, i córka przychodziła niekiedy dzielić jego samotność i rozweselać ją szczebiotaniem naiwnem. Pokój z kominem otwarty był tylko dla domowych i poufałych, gości nie przyjmował w nim nigdy gospodarz, i znakiem może największym jego przyjaźni i pobratania było przypuszczenie do wielkiego komina.

Teraz tworzyły się tu coraz nowe pomysły do płatania figlów sąsiadowi, nie dającemu się w nich wyprzedzić, z tą różnicą, że pan Stefan więcej w nich ukazywał wrodzonego dowcipu, a pan Samuel więcej złości i gniewu. Oba w ten sposób oznajmywali sobie, że żyli i nie zapominali urazy. Nie minął tydzień żeby z obu stron szkody nie wyrządzono, a choć rzadko złapał jeden drugiego na gorącym uczynku, wiedzieli oba co to znaczy. Tu rozrzucono mostek z kretešem, tam wypasiono żyto, ówdzie stratowano łąkę, indziej podcięto sosnę masztową, ogrodzoną i naznaczoną, wydarto barć, i było tego bez końca. Ale zazwyczaj tak się to odbywało pokryjomu i ostrożnie, że nie wiedzieć na kogo się było skarżyć, gdyby do skargi była ochota. Tylko że się do tego uciekać nie myślał ani jeden ani drugi, starali się tylko nie pozostać w długu i piękne oddać za nadobne.

— Co też to tam kochany sąsiad skomponuje mi? — mawiał siadając u komina pan Stefan, — i czemu mu się wypłacić?...

A gdy ekonom przyszedł z oznajmieniem o szkodzie lub psim figlu, często Wilczura w ręce splasnął z uśmiechem, jeśli figiel był dobry i wykonany zręcznie. Wcale inaczej to przyjmował pan Samuel, którego wszystko jątrzyło i gniewało, tak że ludzie jego płacili skórą za każdą prawie szkodę, której się upilnować nie mogli. Zużel latał jak opętany, niedosypiał nocy, konie zajeżdżał, ale panu Stefanowi nie mógł sprostać.

Zaraz następującego roku ledwie się na trawę zaniośło ni stąd ni z owąd całą trzodę z Krasnego, konie, bydło, świnie, kozy, których w Polesiu tyle trzymają, zapędzono przed świtem na pogrudzie i nietyle spasiono jak stratowano sianożęć tak, że przez tygodni parę

czarna była gdyby rola. Pan Stefan zniósł to, ani słówka nie pisnąwszy, ale oddał na tylną morgach żyta, które świłmi dworskiemi zrył i zbił ze szczeniem, zapędzając je tam po nocach. Sianożęć odrosła bujnie, siano pokoszono, i jak zwykle złożono w stogi na gruncie sąsiednim, ale oba stogi popaliły się w dwa dni po zawierszeniu. Tydzień nie upłynął, odryna w Krasniańskim lesie ze wszystkiem spłonęła, tak że dla koni musiał pan Samuel kupić i otawę dawać bydłn.

Kopiec nowo usypany jednej nocy rozsypano, za co wywdzięczając się zaraz Wilczura zrabiał Semenową barę, na sośnie drugiej, bliżej Krasnego leżącej, pszczoły postawił i znaki graniczne pokładł. Poszły obustronne manifesta, nakazano wizję na gruncie, a tymczasem nazwisko Semenowej barci przeszło powoli na młodszą jej siostrę.

Bydło zabierano co trzeci dzień i nie upominano się już o nie, jeśli łaska była wypędzonemu na paszę powrócić chyłkiem do domn to dobrze, jak nie, już się z nim ani chłop ani dwór nie zobaczył. Skończyło się na tem że zamiast dwóch pastuchów, wychodzili z obu stron i pastusi i strzelce z ponabijanemi rusznicami wartując koło stada. Ale by tego na wołowej skórze nie spisał, ile napłatanio wzajemnych psikusów, a stara nieważnie czerwonych pasów do czarnych i czarnych kn czerwonym, co się już była nieco przytłmila, znów poczęła brać górę i dwie wioski biorąc stronę swych panów otwartą rozpoczęły wojnę. Nie było jarmarku w miasteczku żeby Krasniańcy nie oberwali guza od Serebrzynieckich i nie powadzili się gdzie z nimi na drodze; nie było karczmy żeby w niej nie opowiadano jakiejś bójki ich lub napaści. Jedni na drugich wymy-

ślali dziwy i waśnili się jak psy z kotem. Ale i tu Serebrzynieccy zamożniejsi, silniejsi liczbą, zuchwalsi, prym brali nad czarnemi pasami, a duch pana zdawał się ich podtrzymywać.

Proces włókł się tymczasem powoli.

Wśród tej zabawki, która panu Stefanowi dostarczała materji do conceptów i opowiadań na każdym zgromadzeniu, dorosła córka wdowca lat, w których o niej pomyśleć musiał. A była to właśnie chwila w której zwichnieni z dawnych wyobrażeń naszych o kobietach, poczynaliśmy śnić dla nich coś więcej nad domowe i gospodarskie wychowanie prababek naszych. Pann Stefanowi też poglądającemu na swoją ukochaną donię, różne względem jej edukacji przychodziły do głowy pomysły, i już się z nią to do Warszawy to do Wilna wozić zamyślał, gdy od rodzonej swej siostry, będącej w Wilnie eksprzełożoną u panien Wizytek, odebrał pismo nalegające, by dziewczę na lat parę oddał pod jej skrzydła.

A trzeba wiedzieć że nie było wówczas lepszego i dystyngowańszego wychowania nad to jakiego udzielano w klasztorze panien Wizytek wileńskich. Zgromadzenie to samo składało się powiększej części z osób znakomitszych rodzin i arystokratyczniejszego świata, mogło więc i umiało kierować wychowaniem powierzonych sobie dziewczątek, tak aby je i do Boga i do świata ukształcić. Były mistrzynie języków, muzyki, śpiewu, tańca nawet i w ogólności wszelkich talentów, jakich po kobietach wymagać zaczynało, ale przytem były godziny modlitwy, rozmyślenia i kościoła, nauka posłuszeństwa, pokory i skromności. Zalecało to naówczas pannę niemało, gdy się pochlubić mogła że wyszła

z klasztoru panien Wizytek wileńskich, które słynęły szeroko ze swej pensji nielicznej i nieprzystępnej dla samej ostrej klauzury klasztornej, ale ze wszech miar pierwszej w kraju. Otrzymawszy o tem wiadomość szczegółową pan Stefan, który tego tylko czekał, chwycił się sam sposobić do drogi, kazał wybierać pani Pańczęwskiej i postanowił rozstać się z swoją córką w nadziei że po lat parze cieszyć się będzie owocami swej ofiary.

Już mu tam z głowy wyszły i sprawy o granicę i wojna z sąsiadem. i ledwie na wyjeździe ludzioro nie zapomniął zlecić pilności, tak się do Wilna szybko wybierał.

Jednakże na wsiadanie dał około tego instrukcję szczegółową panu Józefowi Dymkowskiemu, którego na gospodarstwie w Serebrzyńcach zostawiał i w dwie bryki zaprząwszy ośm tłustych podjezdaków, do Wilna się posunął.

Dziwną to było rzeczą w całym tym sporze sąsiedzkim, że paweł Żużel prawa ręka pana Samuela, i Dymkowski rządzca Serebrzyniecki, pokrewni sobie, choć panom swoim wiernie służyli, byli z sobą w jak najlepszej zgodzie. Rodzice ich mieszkali w jednej okolicy szlacheckiej i chłopaki jednolatki za młodu się pobratali, a przyjaźń ta przetrwała wszelkie pokusy zwaśnienia, chociaż ich było nie mało. Ani Paweł ani Józef nie zdradzili nigdy panów swoich, nie wypapłali się z niczem niepotrzebnem, ale nikt nad nich szczerzej się za spotkaniem w oba policzki nie całował i serdeczniej nie ścisnął. Przyjaźń ta zresztą tak była cicha i rzadko się objawiająca, że ani podejrzliwy Hawnul, ani Wilczura, za złe jej swym sługom nie mieli.

Po wyjeździe pana Stefana do Wilna, na jarmarku

w miasteczku spotkali się Żużel z Dymkowskim; a że ich wywnętrzeniu się nic na zawadzie nie stawało, długo się i poufnie rozgadali z sobą, przy kwarcie miodu staro-ego, którą czuł jeszcze w głowie Żużel powróciwszy po dyspozycją na dzień jutrzejszy do Krasnego. Wyszedł do niego Hawnul blady, milczący jak zwykle, ponury, niedowierzający, a że z rozmowy o gospodarstwie wpadli na sąsiada, zapytał:

— Cóż tam ten Łajdak?

Żużel domyślił się o kim mowa i wyśpiewał:

— Pojechał chwala Bogu w drogę i na jakiś czas będziemy od niego wolni...

— Dokąd? — podchwycił Hawnul.

— Do Wilna... i córkę ma w klasztorze umieścić...

Na te słowa pan Samnel który chodził po izbie, zastanowił się nagle i jako by go kosą podciął, języka w gębie zapomniał. Żużel nawet mimo miodu który mu głowę mącił, postrzegł, że dotknął jakiejś struny drażliwej, ale nie pojmował co tak strasznego powiedział w kilkun prostych wyrazach, które powinny były ucieszyć raczej Hawnula, niżeli go tak zmięszać.

Nie odezwał się już ani jednym wyrazem dziedzic Krasnego, padł na stołek, rękę sparł na kolanach i dawszy znak ekonomowi, pozostał tak zadumany głęboko.

— Kat go wie co mu się stało, — powiadał później Żużel, — ale postrzegłem że go izłość i fantazja i impet zwykły, gdy o sąsiedzie mówił, całkiem opuściły. Chandra i po wszystkim! — pomyślał ekonom przywykły do jego wybryków.

Nazajtrrz toż samo, Hawnul gadać nie chciał, zamknięty był z żoną, i ledwie się pokazał, nie inaczej i dni następnych. Parę razy tylko zaczął choć ze wstrę-

tem Żuźła o sąsiada, usiłując go dopytać, kiedy go się w Serebrzyńcach spodziewają z powrotem. A co najdziwniejsza nie wydał żadnego rozkazu napaści na terytorjum sąsiednie, z czego, z powodu swej przyjaźni z Dymkowskim, rad był bardzo Paweł. Nic się zresztą w życiu Hawnuła nie odmieniło, krom tego że jeszcze bardziej siedział zamknięty i na gospodarstwo obojętny, a często gęsto o powrót Wilczury zapytał.

Tak spokojnie na oko przeszedł cały czas oddalenia pana Stefana, który nie wprost do domu, ale do powiatowego miasteczka zajechał, bo mu widać tęskno było za przyjaciółmi i dawnymi znajomymi, i ztamtąd przyzostawszy sam u podkomorzego, bryki do Serebrzyniec odesłał.

Wieczorem tegoż dnia wiedział już o tem Hawnuł przez Żuźła, i znać było po sposobie w jaki przyjął wiadomość, że go mocno obeszła. Nazajutrz rano gdy zaturkotało przed gankiem i bryczynka pana Żyrmuńskiego zabiegła przed dwór, niepokój się wszczął wielki. Hawnuł sam nie wyszedł przeciw niemu. Wysłał trzech dowiedzieć się naprzód kto przyjechał, a gdy mu doniesiono że Żyrmuński, powoli i jakby z ostrożnością wyszedł ku niemu. Od procesu o Pogrdzie stosunki ich z sobą całkiem się były zerwały, mogły więc odwiedziny te zadziwić Hawnuła, i w istocie z jakimś strachem, niepewnością, oczekiwaniem czegoś przerażającego wysunął się z pokoju żony, jak winowajca, gospodarz domu.

Żyrmuński zwykle potulny i pokorny, teraz przybrał był minę uroczystą, strapioną i prawie surową; na twarzy jego widać było, że nie na darmo i nie z dobrem przyjechał do Krasnego. Hawnuł widać to postrzegł

czy przeczuł zaraz i pobladł, usiłując przybrać minę obojętną.

— Ha! cóż to tak niespodziewanego gościa w dom mój sprowadza? — począł, nieokazując po sobie przykrego jakie doznał wrażenia... — Co mi to waćpan dobrodziej rozkażesz?

Żyrmuński zdaleka się skłonił.

— Gdyby można, — rzekł po cichu, — prosiłbym na stronę dla pilnej i ważnej sprawy.

Hawnul drgnął jakby weń spodziewany strzał uderzył.

— Chodźmy, chodźmy do ogrodu, — odezwał się głosem zmienionym.

Nie czekając wyszli oba, a oddaliwszy się kroków z pięćdziesiąt ode dworu, zatrzymali w ulicy otwartej, gdzie nikt ukryty posłyszeć ich nie mógł.

— Cóż to tam takiego? — zapytał Hawnul, wpatrując się w adwokata.

— Mości panie, — odpowiedział surowo Żyrmuński, — porzćmny daremne ceregiele i formuły, jam tu waszmości wprowadził do Krasnego i ułatwił mn nabycie majętności, mnie też przysłało go przestrzedz o tem co mn dziś zagraża. Nie mam w tem interesn, ale prostą litość...

— Litości nademną! — krzyknął Hawnul, mnie coś zagraża! co to jest! enigmata jakieś!

— Przymuszasz mnie waszmość żebym się szerzej wytłumaczył; zrobiłeś sobie nieprzyjaciela, drażniąc o tę łakę JMPana Wilczurę, którego głos w powiecie wielki i słowo znaczące, dziś nawarzone piwo wypić potrzeba. Jeździł pan Stefan do Wilna, a czego tam na waszmości napytał, nie wiem, dość że głośno się z tem odzywa, że zgubić go może jednym słowem.

Na chwilę Hawnul nie mógł mówić, tak mu usta ścięło, spuścił głowę, zawahał się, ale rychło podniósł czoło i krzyknął:

— Niechaj gubi! niech gubi! zobaczmy co to za ciekawość przywiózł z Wilna.

— Ale to nie są czeze pogróżki,— rzekł Żyrmuński,— ja znam pana Stefana, że na wiatr słowa nie rzuci, byle mu gadać, i kiedy co wie, to wie dokładnie. Ja tam nie domyślam się jakiego kaduka waszmość masz na sobie, wszelako przestrzedz go sumienie mi kazało. Wczorajszego dnia wieczorem na kolacji u Brnderkowskiego, wszczęła się rozmowa o mogile na Pogrudziu, a pan Stefan odezwał się do nas: Ba! ba! teraz on mi nie straszny, mam na niego taki oręż, którym go pobiję, bylem nsta otworzył. Co wiem to wiem, przyjdzie czas powiedzieć, taić nie myślę, dość mi sadła zalał za skórę... Musisz sobie waszmość wystawić, jakie to na towarzysztwie uczyniło wrażenie.

Słuchał Hawnul i gniew żeń już już miał wybncznąć, ale się poskromił. zrobił nawet minę pokorną i przece-dził przez zęby:

— Zobaczmy. zobaczmy... co to tam tak straszego! Ludzkie języki gorzej żmyi kəsają, ale się ich czyste nie obawia sumienie. Co mi zrobić może?

Widać jednak było pomieszanie choć udawał spokój, zakręcił się i po chwili namysłu dodał:

— Dziękuję panu za radę. jeden to dowód życzliwości, jaki mnie tu spotkał... Nie wiem, może mi podróż moją z powodu tych pogrózek wstrzymać przyjdzie.

— A dokądżeś się to pan wybierał?... — spytał Żyrmuński.

— Mam tam trochę interesu koło Wilna. — odpo-

wiedział zmieszany i unikając spojrzenia w oczy wymierzonego Hawnul; — potrzeba będzie pojechać! tak! tak! potrzeba!!

Żyrmuński widząc że dalej nic z niego nie wyciągnie, bo szlachcic zdawał się cały w myślach zatopiony, pokłonił się i nie czekając więcej, co prędzej z Krasnego ruszył nazad, kieliszka nawet wódki ani kawałka chleba nie skosztowawszy, bo go gospodarz wcale zapraszać nie myślał.

Tylko co bryczyna odjechała, posłał gospodarz po Żużła.

— Jedź waćpan do miasteczka, — rzekł do niego i najmij mi cztery konie z bryką żydowską do Wilna, niech tu dziś wieczorem będą.

— A na cóż JW. panu najmować kiedy są swoje? — zapytał Żużel.

— Czy ja waćpana trzymam do rady czy do egzekucji? — zawołał groźnie Hawnul.

Żużel zamilkł bo dojrzał z oczów humoru, z którym żartować nie było bezpiecznie.

— Gospodarstwo oddaję na twoje ręce, — dodał pan Samuel. — żonę pod waścina opiekę, i proszę żebym tu zastał wszystko w porządku... A kto się spyta gdzie jest, — rzekł z przyciskiem, — powiedzieć, żem do Wilna pojechał, słyszysz waść?!

Żużel poleciał do miasteczka natychmiast, i sprawił się tak żywo, że w godzin parę już konie najęte były w stajni. Hawnul się znać przysposobiał do drogi, bo go widać nie było, z izby żony jego tylko dochodziły szept, rozmowa urywana i niekiedy łkania bolesne. O zmroku jakoś zaszła bryka, a Hawnul nagadawszy jeszcze Żużłowi. jako się ma sprawować, siadł w nią i

sam jeden, nie wzięwszy nawet chłopca do usług, odjechał.

Tymczasem pan Stefan odwiózłszy córkę do klasztoru, powrócił do domu w wysmienitym humorze, czy to że zaspokoił umieszczeniem jej serce swe ojcowskie, czy że jak się z tem dawał słyszeć, miecz przywiózł na zawziętego sąsiada. Nie tał się też z tem wcale, że byle chciał, hardego przekorę powali jednym słowem o ziemię, ale jak to był człek roztropny i wiele baczący na każdą czynność, choć niby na oko z pierwszego popędu wszystko czyniący, z niczem się więcej nad to nie wygadał.

Naciskano go pytaniami, ale dyskretnie milczał, nśmiechając się i zbywając ciekawych ni tem ni owem.

— At, at, zachcieliście, zobaczycie, siedzi cicho, nie otworzę gęby, póki mi nie da powodu... Nie bociau jestem, hym świat z gadów czyścił, niech go tam Bóg kocha...

Częste jednak wspomnianie o bocianie naprowadzało na domysły, że nie lada fraszkę miał pan Stefan za nadrą a tajemniczy sposób życia i niewiadome pochodzenie Hawnula, Bóg wie czego dogadywać się dozwalały. Jego zaś nie było i nie było, jak pojechał do Wilna, gdyby w wodę wpadł, słudzy nie napadali na Serebrzyńce, i zgoda panowała między dwoma wioskami. Ale zajądlność dwóch gromad przeciwko sobie nie ustawała, pańska waśń zawieszoną była, wieśniacza stała pod spodem. Czarne i czerwone pasy kłóciły się na granicach, po gościńcach i byle powodzik stawały do boju.

Stało się jednego dnia, że pastusi, pasący trzodę Serebrzyńską niedaleko granicy Krasnego, pousypiali w krzakach, nie wiedzieć zkad zjawiło się tam kilku ludzi Hawnula.

— A co! — zawołały czarne pasy — jakbyśmy wpędzili ich bydło na nasz grunt i zabrali? Niech-by się powróciło za nasze szkody przeszłoroczne, a mało to tam wołów naszych poprzepadało?

Rada nie była długa, nagnana trzoda prawie cała przeszła na grunt Krasnego, a choć tam nic posianego nie było i szkody na paszy zrobić nie mogło, przyskoczyli Krasniańscy i zapędzili ją wnet do wioski. Żużel w wielkim był kłopotcie, gdy to postrzegł, ale nie miał sposobu wykręcenia się, obawiając się pana za powrotem, chłopci też zaraz bydlęm rozporządzili i słuchać nie chcieli żeby go oddać.

W Serebrzyńcach larum okrutne, włóscianie pobiegli do dworu ze skargą, trafili jeszcze na zły humor pana Stefana, a ten im na głos powiedział:

— Cierpliwości moje dzieci, cierpliwości, djabli wezmą tego przybłędę... już miarki dosypał, dłużej go nie pożałuję, zobaczycie jakiego mu piwa za bydło nawarzym.

Naturalnie bowiem, choć Hawnuła od miesiąca w domu nie było, jemu i nakazom jego przypisał pan Stefan tę grabież.

Tegoż dnia zbliżało się wielkie polowanie w Serebrzyńcach, gości zjechało się hukiem, a gospodarz nie szczędził sąsiada, i dał się z tem słyszeć kilkakrotnie, że Hawnuła zdemaskuje... Przy kieliszkach nie jedno cierpkie słówko z nst wyszło, którego się nie obrachowywało...

— Niech no tylko wróci — rzekł wreszcie pan Stefan — damy mu tu bankiet, jakiego jeszcze w życiu nie kosztował i wyświecimy go z Krasnego.

Słowa te rozeszły się po sąsiedztwie błyskawicą, poszły po wioskach. po chłopach i dalekiem odbrzmiały

echem. Żydzi już nawet po karczmach pogróżki te powtarzali. Ale na tem się skończyło, wyraźniej nic nie powiedział jeszcze Wilczura, przynajmniej publicznie, choć może przed poufalszymi przyjaciółmi sekretu się zwierzył, bo dziwne dziwy na Hawnula rozpowiadać poczęto, tak, że słuchaczom włosy na głowie powstawały.

Kilka dni trwało owe polowanie na wilki u pana Stefana, wszyscy Serebrzynieccy pobereźnicy, strzelcy, gajowi, szlachta czynszowa okoliczna i gromada z obławą udział w niem mieli. W istocie polowanie było tylko pretekstem do zabawy. A wymyślano co dzień inną. Zrana trochę napukano w kniei, śniadanie zastawiono w lesie, i trąbiąc a hucząc, powracano do domu, gdzie ledwie spoczawszy, rozpoczynano harce na koniach, strzelanie do celu, do wyrzucanych jaj i pieniędzy, do śliwek i t. p. wyprawiano wyścigi, zasiadano do kart i butelek. a wesola myśl i ochota trwały często dobrze za północ do trzecich kurów. Już to w przyjęciu gości nie miał sobie równego pan Stefan i umiał honeste grać rolę gospodarza, wszystkim dotrzymując kompanji, zachęcając, prosząc, animując, aż miło. To też nigdzie się tak nie bawiono jak u niego i pamiętne były zjazdy w Serebrzyńcach. Teraz przecie czy mu to bydło tak zajechało do głowy, czy humor co innego popsuło, ale pan Stefan był nie swój i choć się trzepał jak mógł, ale widocznie nadrabiał tylko rezonem, a w sercu mu było tęskno. Starano się go rozerwać, na próżno, uśmiechał się powtarzając: Starość nie radość, a łza stała w oku.

Najweselsi ludzie miewają takie dnie w życiu, kiedy ich radość i humor odbiegają, nie wiedzieć dla czego, a śmiechu nie nakazać, to darmo. Szło wszystko swoim

porządkiem i koła gościom pozdejmowano, pojono, raczono, ale gospodarz chodził osowiały i nie swój. Czwartego czy piątego dnia po tej historii z bydłem, ndało się Serebrzynieckim złapać gajowego Krasniańskiego (którego posądzano, że należał do spisku na stado) z parą wołów w lesie pana Stefana. Przyprawiono go do dworu, a w gniewie Wilczura kazał mu wyliczyć dwadzieścia odlewanych, młode byczki poobwieszać, a wóz porąbać i spalić.

Gajowy odszedł z płaczem i gniewem w sercu do domu.

Nazajutrz było polowanie, ostatni dzień, ostatnia knieja i pewne gniazdo na zakąskę zachowane, a właśnie tak wypadło, że ostęp po za Wilczem polem i Sementową barcią był w nie zajęty.

Starzy strzelcy rozstawiali myśliwych i wiedzieli, że zwierz spłoszony przez huczków iść będzie od cypla błotem, łoziną, krzakami, przez Pogrudzie, mimo Czerczej mogiły, przedzierając się ku lasowi. na drugim brzegu błotka leżącemu.

Kragiem więc po nad skrajem lasu stanęli goście, niektórzy w krzakach na Pogrudziu, inni na Wilczem polu rozmaicie rozłożeni tak, aby wszystkie przesmyki zajęli.

Jesienny ranek był prześliczny, trawy i liście osrebrzone rosą obfitą, powietrze orzeźwiające, woń lasów i jesieni miła i jakaś tęsknotę do duszy wnosząca. Bory chwiały się poruszane zaledwie lekkim wietrzykiem chwilami, a ptastwa chmury czynnemi przeloty dzień pracy rozpoczynały.

Stary Jurko Remeń, który rozstawiał gości, panów i strzelców, rokował o tym dniu najlepiej, ale czy się

zadurzył, czy z losu tak wypadło, pana Stefana nie umieścić, aż się opatrzył dopiero przy Czerczej mogile. Nie zdawało mu się stosownem pana tam stawić i nie wiedział co począć, gdy Wilczura zawołał na niego, że w łożach podleg tego miejsca chce zostać.

— Ej! panieńku — rzekł Remeń — miejsce nie osobliwsze, ciężko żeby tu co wyszło, choć ścieżynka jest, a wilk weźmie górą.

— At! co pan Bóg da — odparł Wilczura — myślnie o gościach, żeby strzelali, a ja choć z nabita powrócę, to my to sobie wynagrodzimy...

Został więc pan Stefan nieopodal od Czerczej mogiły, zrazu lisią jego czapkę po nad łożami widać było, ale wkrótce czy przysiadł, czy gdzie przeszedł, bliżej stojący już go nie dostrzegli.

Tymczasem puszczone psy, zagrały, huczki poczęły wołać i kijmi o drzewa walić, a strzelcy w cichości oczekiwać zwierza... Opodal na skraju lasu jeden strzelił, gdzieś w tyle drugi huknął, oba pudła, bo psów nie nawoływano. Aż i koło mogiły puknęło, silny kłębik dymu podniósł się w czyste powietrze, i cicho jak uciał.

— Oho! nasz pan, znam jego gwintówkę — rzekł Remeń — już coś ubił... ani chybi starą wilezycę... i cicho siedzi.

Bliżsi strzelcy ciekawi co pan Bóg dał, bo nie słyszeli i nie postrzegli, żeby się co mimo nich przemykało, poczęli zaglądać, ale ani pana Stefana na stanowisku. ani zwierzyny nie dojrzeli. Nareszcie w gorętszej wodzie kąpany Bruderkowski posunął się kłusem, znikł w zaroślach i nuż rozległ się krzyk jego:

— O la boga! nieszczęście! ratuj kto w Boga wierzy! Ratujcie!

Że psy jakoś ustały były gonić, bo trop zgubiły w borze, i cicho dokoła było przez chwilę, posłyszano głos podsędka, a kto żyw począł zmierzać ku miejscu, z którego się odezwał.

Pięciu czy sześciu znaleźli się zaraz na stanowisku gospodarza, ale tu go nie było, a pomiętoszone gałęzie i świeże ślady wskazały im ku mogile. Tu straszny w istocie widok ich uderzył.

Pan Stefan leżał na wznak na ziemi pod samą Czerczą mogiłą z gwintówką w ręku, krwią pierś mając zbroczoną, ustami mu też obficie krew buchała.

— Co to jest! przypadek, postrzelił się — zawołali nadbiegający — czy kto go postrzelił? — Na mnogie przestraszonych przyjaciół zapytania, Wilczura nic odpowiedzieć nie mógł, tak się z niego krew lała. Podnieśli go, orzeźwili, zaczęli opatrywać i dopiero się opatrzone, że kulą w plecy był strzelony z tyłu, a piersią mu strzał ów wyszedł.

Nie można było pojąć jak się to stało, gdyż nikt z kilku najbliższych strzelców fuzji nie miał wypróżnionej, nikt nawet tak nie stał, by mógł w tę stronę strzelić, a zwierz żaden nie szedł. Stary Remeń przypadłszy do śladów pana, z płaczem począł się orjentować, i w darni kurhanu o kilkanaście kroków znalazł kulę, do której go kiernnek strzału domniemany doprowadził. Kulę tę zaczęto zaraz przymierzywać do strzelb wszystkich, ale do żadnej nie przysła.

Pan Stefan mówić nie mógł, żeby o wypadkach objaśnić, złożono go na wóz niedaleko stojący z żywnością, powieziono do dworu. Przerwało się polowanie, a straszliwe jakieś podejrzenie uderzyło niemal jednocześnie wszystkich. Spór z Krasnem, powieszenie wołów, plagi

dane gajowemu przyszły im na myśl, i choć raniony objaśnić ich nie mógł, poczęto się dorozumiewać zemsty, która przezornie czas sobie i miejsce dobrała. Właśnie Wilczura padł u mogiły, której rozkopanie rozwiązało spór o łakę i otwarło wrota wzajemnym dwóch namiętności waśniom. Można sobie wystawić jakie wrażenie wypadek ten zrobił na zgromadzonych, którzy się jeli śledzić, badać i wzięli do serca to morderstwo, które się im zdało umyślnem.

Rozesłano po doktorów, ale jak na toż jedyne go najlepszego ktoś był zabrał, a w Polesiu przed kilkadziesiąt laty lekarz był wielką osobliwością, drugiego nie zastano także w domu i Wilczurę baby wiejskie i stary znachór leczyli. Krwi nie było sposobu utamować, choć ją zamawiały najwprawniejsze lekarki.

Ku wieczorowi była chwilka, że się zdawał mieć lepiej nieco raniony, ale gorączka go niemal zaraz opanowała i tyle jeno miał czasu, że po księdza posławszy, kilku przyjaciółom ostatnią swą wolę podyktował, potem chwytając chwilę przywołał do siebie pana Filipa Turzona, i z nim jeszcze z kwadrans trwał na cichej rozmowie. Ale co tam z sobą mówili, jednemu było Bogu wiadomo, to pewna tylko, że blady jak chusta odszedł od łoża przyjaciela Turzon i padł na siedzenie ledwie żywy.

Żegnając się jeszcze z krewniakami i przyjaciółmi, którzy łóżko jego oblegali, pan Stefan miał tyle sił, że przerywanym głosem spisał im jak się to stało; nie wiele jednak i od niego dowiedzieć się było można.

— Stałem — powiedział — na przesmyku, kiedy mi głupia myśl przyszła posunąć się ku Czerczej mogile, bo mi się zdawało, że ztamtąd prędzej co na cel wezmę. I ledwiem się zatrzymał, plecami do krzaków a twarzą

do Czerceji, gdym po za sobą posłyszał szelest jakby rozsuwających się gałęzi. Chciałem się obejrzeć, ażali mi się zwierzył jaki nie wymyka, ale nim podążyłem się obrócić, poczułem jakby mnie co przeszyło. Zachwiałem się i upadłem. Nikogom nie widział, i nie pojmuję z kąd się wziął postrzał, ale to pewna, że nie strzelec żaden go wynierzył, bo tam żaden nie stał...

Ku północy coraz silniejsza gorączka opanowała rannego myśliwca. Ksiądz nadjechał i ledwie *in articulo mortis* mógł mu dać absolucję, bo już od rzeczy plótł wcale i na krótko przytomność odzyskiwał; a o drugich kurach nadeszła ostatnia godzina. Różne pan Bóg na ludzi śmierci zsyła i daje im kończyć często na podziw lekko i bez boleści, ale nie wiem, żeby kto tak osobliwie konał jak Stefan Wilczura... Mózg miał zajęty i pierś rozbitą, gorączkę okrutną, krew ledwie zatamowana za najmniejszym się wysiłkiem znowu usta puszczała, ale zdaje się, że on sam nie czułcale co się z nim działo.

I owszem ostatnią godzinę wesołą miał jak życie całe, znać mu się ono na odjezdnem przypominało. A jak był zwykł przy ochocie śpiewać wiersze swej własnej inwencji bardzo udatne, tak i teraz prawie piosnką usta mu się zamknęły i ci co słuchali, powiadają, że przedziwniejszych wierszy jak żyw żaden z nich nie czytał.

Zwracał je to do przyjaciół, to do żony dawno zmarłej, jakby ją miał przed oczyma, to do ukochanej córki, to do innych dawno pomarłych swoich rodzeństwa i najbliższych. Aż mrowie przechodziło po skórze gdy się począł do nich obracać, ręce ku nim wyciągać, rzekłbyś,

że zmarli ci przyszli po jego duszę na drugi ją świat przeprowadzić.

I tak śpiewając hejnał złożony niegdyś na cześć matki boskiej Żyrmuńskiej, usta mu usługi odmówiły, wielki tylko krzyk wyrwał się z piersi:

— Jezus, Marja, Józef!

Wilczura Bogu ducha oddał.

Co tam było lamentu i desperacji między przyjaciółmi, towarzyszami, krewnymi, ba i nieznajomymi, bo to był człowiek na podziw kochany od ludzi, tego opisać trudno. A jeszcze mu pierś nie zastygła i resztką krwi sączyć się z niej nie przestała, gdy Filip Turzon, który siły nie miał być świadkiem śmierci, nadbiegł do łoża i zaprzysiągł na zwłokach nieboszczyka, że bodajby miał do ostatniej stracić koszuli, dójdzie zabójcy i instygować będzie o przykładne ukaranie.

W tąż wszyscy tam bliżsi podnieśli ręce i zobowiązali się takąż samą przysięgą z płaczem, z jękiem i narzekaniem, że ode dworu ich aż na wsi słychać było.

O tej śmierci zaraz najrozmaitsze były mniemania. Sąd zjechał wizję ciała zrobić przed pogrzebem, a resztę indagacji odłożono ażby się ciało odddała ostatnia posługa. Prowadzono je do grobu familijnego do Mykitycz, o mil pięć od Serebrzyniec, gdzie Wilczurowie mieli kaplicę na smętarzu, w której się od lat dwóchset chowali, a ludzie najstarsi nie pamiętali tak wspaniałego i przy takim konkursie szlachty odbytego pogrzebu. Okazano mu chociaż po śmierci, jako sobie serca wszystkich zaskarbił, szli wszyscy pieszo aż do miejsca, a pogoda też dziwnie sprzyjała obchodowi, bo prawie ani jedna świeca nie zgasła asystującym. A gdy ksiądz kanonik Pacyna począł żegnać imieniem nieboszczyka

familję i druhów, taki się płacz wszczął w kościółku, że nie rychło mowy potrafił dokończyć; sam też się rozbeczawszy, choć był hartownej duszy człowiek i nie dziś z nieszczęściem znajomy.

Tamże stypa była w Mykityczach wspaniała, na której raz jeszcze cały powiat się przysięgą związał, poszukiwania zbrodniarza wszelkimi możliwymi środkami, ażeby był wynaleziony, i Filip Turzon wdziawszy żałobę dał uroczyste słowo nie zrzucić jej, póki winowajcy na szubienicę nie zaprowadzi. Taki był koniec nieszczęśliwego Stefana Wilczury, ulubieńca współobywateli, nie spodzianie znikłego z pośrodku ich grona, ale nie na tem opowiadanie nasze zamknijemy.

Chociaż urzędową rozpoczęto indagację, nie spuszcza-
jąc się na nią przyjaciele zabitego, a Turzon na ich czele, wzięli się do tajemnego śledzenia. Najsilniejsze podejrzenie padało na gajowego, któremu nieboszczyk plagi wyliczyć i woły obwiesić kazał. Natychmiast więc skierowano się ku niemu i polecono go przytrzymać. Z ubocznych jednak zeznań najwiarogodniejszych ludzi, co go widzieli dnia tego w miasteczku, okazało się, że w czasie polowania w domu nie był i chodził dla kupna soli z drugim chłopakiem i żoną na jarmark. Świadczyli i wieśniacy i żydzi i ekonom z Gruszej Góry, który z nim o jego przypadku rozmawiał. Niemniej jednak wsadzono biednego Hryčka do więzienia, póki by się to nie wyjaśniło, a Turzon szukał dalej.

Jakiś instynkt wiódł go ciągle ku Krasnemu i przecucie doń wołało, że ztamtąd strzał ów nieszczęśliwy

wyszedł. Ale ten, którego charakter i urazy najsilniej posądzać dozwalały o zbrodnię. Samuel Hawnul od dawnego czasu nie był w domu i nie rychło się go nawet spodziewano z powrotem.

Turzon, który znał całą szlachtę okoliczną na palcach i familję Żużłów, w pewnych widokach zbliżył się do ekonoma krasniańskiego, chociaż, jak Paweł powiadał, nie wydał się wcale ze swą myślą i pod pozorem jakiejś sukcesyjki, interesu, czy układu, Żużla do siebie powołał i ująć się sobie starał. Z razu nic z nim nie mówił ani o Hawnulu ani o zabójstwie, które na sercu jego leżało, ani o zaprzatującym go niepokoju, ale ułożywszy tak sprawę Żużłów, że bardzo często widywać się musiał z Pawłem za serce tylko starał się go schwycić i zupełną ufność jego pozyskać. Szlachcicowi w głowie nie powstało, żeby w tem coś być miało więcej nad owe dwieście złotych, które mógł mu pan Turzon wyzyskać z czyjejś tam eksdywizji.

W kilka tygodni jednak, kiedy się Żużel obył ze swym protektorem, a ten go braterskiem obejściem i dobrocią całkiem skaptował, niby wypadkiem, po dwa razy powtórzonym kielichu starki, zagadało się coś o panu Samuelu Hawnulu, i Turzon nieznacznie badać zaczął o niego.

Żużel, jak to zwykle szlachcic, kiedy łapki przed kim położy, to z pod serca dobywa co tylko ma i tajemnicy nie robi z niczego, zaczepiony niewzględnie się wypowiadał ze wszystkiego, życie, obyczaje, narowy, charakter, a nawet słowa, jakie kiedy słyszał od pryncypała, powtarzając.

Turzon słuchał, poddawał, badał nieznacznie, wyciągał co raz dalej, a gdy przyszło do opisu ostatnich zajęć,

a szczególnie wyjazdu Hawnula, baczniej nastawił ucha i węża kręcić począł. Musiał mu Paweł opowiedzieć z najdrobniejszych szczegółami jak konie wynajmowano, jak z domu ruszył, wybrał się, i co mówił niemal siadając na brykę.

— A wiesz aspan co — zawołał wreszcie stary stukając pięścią o stół — to dalipan ciekawa historia ten twój Hawnul i jego żona, której nikt nie widzi, i jego życie zaparte, i te jego fantazje osobliwsze... Djabeł go wie co o nim myśleć... ale mi to wszystko szelmą pachnie, uczciwi ludzie tak się z życiem nie kryją... w tem coś jest.

Dopiero Żużel zmiarkował, że się niepotrzebnie wygadał i języka sobie przykąsił, ale już było po czasie, jał nawet się zwracać tłumacząc jak mógł pana, co nie łatwo mu przyszło, bo Turzon wciąż powtarzał:

— Taki mi on śmierdzi! zobaczmy! zobaczmy, ale bodajby był tak czysty jak waść mówisz, ja w to nie wierzę, niedoperze tylko i sowy nocy szukają, ale z nimi całować się nie życzę, życie szlachcica choćby na największym klarze ostoi się, a nie potrzebuje poniroki i umbry. Twój Hawnul zawsze mi podejrzany.

Żużel, który pomimo popędliwego charakteru i częstych obrywek, jakie od niego cierpiał, przywiązał się już był do Hawnula, bardzo się zasmucił, że dał powód nieostrożną mową do jakichś posądzeń, zamknął więc usta i nie odezwał się już o uim ni tak ni owak.

Tymczasem przed powrotem Hawnula do domu indagacja szła gorliwie, był zjazd w Krasnem i Serebrzyńcach, badano ludzi, spisywano zeznania, uwięziono kilku, zabierano rusznice, do których knę przymierzano, ale

do żadnej nie weszła jak była powinna i zabójcy ani tropu nie znaleziono.

Serebrzyńce jako majątność sieroty poszły w opiekę i administrację, córka nieboszczyka pozostała w klasztorze panien Wizytek w Wilnie, a gospodarstwo szło zwyczajnie jako na sierocem, dosyć opieszale i lichy.

Dopiero w trzy tygodnie po śmierci Wilczury Hawnul powracając z Wilna, zjawił się w miasteczku naprzód, a tu już nań czatowano, bo ledwie do Hersza Moczymordy na stancję zajechał, Turzon zapukał do drzwi izdebki i stanął przed nim. Hawnul na widok niespodziewanych tych odwiedzin człowieka, którego raczej za nieprzyjaciela niż przyjaźnego sobie mógł uważać, trochę się zmieszał, pobladł, ale słowa nie rzekłszy czekał interpelacji.

Turzon ze swej strony nie wiadomo co w tem mając, wszedł w milczeniu, stanął, oczy w niego wlepił okrutnie i tylko szydersko głową potrząsł. Oba tak przez chwilę nic nie mówili do siebie, nareszcie blada twarz Hawnula poczęła się okrywać rumieńcem coraz żywszym, coraz ognistszym, wargi mu się trząść zaczęły, ręce konwulsyjnie zadrgały i nim się zdołał pomiarkować, wydał się czy z gniewem czy z innem jakimś uczuciem, poczynającemu nim miotać.

— Co waszmość chcesz odemnie? — zapytał przybyłego.

— Nic, mości dobrodzieju, nic — z flegmą odparł żywiąc tabaki Turzon — chciałem tylko pierwszy go powitać. Ot i zapytać go jak się jeździło? Byłem właśnie u Hersza, gdyś WPan zajechał. Pan wiesz jakie tu nas spotkało nieszczęście?

To pytanie rzucając, Turzon znów oczy badawcze

wpoił w twarz Hawnula, a gdy ten mocno natarczywością i szyderstwem zmieszany, zawahał się i w pół słowo wymówiwszy uciał, począł bardzo głową kiwać.

— Wszak to pańskiego sąsiada Wilczurę a mego najlepszego przyjaciela zdradziecko i zbójcko ze świata zgładzono.

— Słyszałem już o tem — rzekł Hawnul niepewnym głosem.

— Gdzie? — podchwycił Turzon.

— Na drodze, wieści się rozchodzą prędko — odparł odzyskując przytomność Hawnul — ale radbym wiedział, zkąd to badanie?

— Ja nie badam waszmości — kłaniając się odezwał Turzon — owszem przyniosłem mu, zdaje mi się, sam wiadomość. a nim pożegnám go, i to jeszcze dodać muszę, że nas tu kilkudziesięciu poprzysięgliśmy odkryć zabójcę nieboszczyka... (tu się Turzon namyślił) i kilku ludzi z Krasnego podejrzanych o kryminał, wziąć musieliśmy do sądu... Otoż powód mojej pospiesznej u WPana bytności, wszak ci to o jego poddanych idzie.

Hawnul nie rychło się zdobył na odpowiedź, niedowierzając snąc temu co mu Turzon mówił, ale mu wróciła zwykła jego rezolucyjność i ambicja z jaką odpowiadał odpychając od siebie każdego, unikając wszelkich z ludźmi stosunków.

— Jeśli kto z moich poddanych winien — rzekł — ja go pewnie bronić ani osłaniać nie będę.

— Ja się tylko koniecznością indagacji przed WPanem dobrodziejem wymówić z czynności, której byłem powodem, pragnąłem — inną wędkę wystawując, zawołał Turzon spokojnie. — A zatem żegnam, przepraszając, żem go inkomodował.

Turzon już miał odchodzić, gdy żyd furman wniósł do izby rzeczy Hawnula, a z niemi piękną gwintówkę. Podróżny postrzegłszy go, z niechęcią dał mu znak, żeby tłumoki w kąt rzucił, ale nie uszła broń ta baczego oka Turzona, który pochwycił strzelbę i pod pozorem zamiłowania w myśliwstwie, bacznie ją począł oglądać.

— Śliczna strzelba! — zawołał nie zważając na zmarszczenie brwi Hawnula — śliczna broń i dobrze bić musi... A i kaliber niepospolity — dodał szybko palec wkładając w lufę niepostrzeżenie — zazdroszczę panu takiej kniejówki.

Na to ani słowa odpowiedzi nie dał już przybyły, tylko usta zaciąwszy stał. zdając się czekać rychło natręt sobie odejdzie.

Turzon zaraz też się wysunął, i ledwie drzwi za sobą zamknąwszy, westchnął jakby mu brzemię z piersi spadło; a choć stary. poleciał nocą do Bruderkowskiego co temu spiesząc.

U podsądka było osób kilka, zabawiających się węgrzynem, ale przystojnie. Poznali po minie, że Turzon nie przyszedł z próżnemi rękami, ale ten spostrzegłszy zbyt liczne zgromadzenie, przysiadł się do kielicha i nie rychło, gdy się rozeszli obcy, zamknąwszy drzwi sypialni, odkrył się z czem przyszedł.

— Ot wiecie co — rzekł gorąco — albowm wielce winien przed panem Bogiem moim, że niewinnego posądzam, albowm odkrył zabójcę nieszczęśliwego Wilczury.

Wszyscy krzyknęli i skupili się dokoła, a on tak mówić zaczął, z wielką flegmą myśli zebrawszy :

— Od razu mnie piknęło, że to nie chłopska sztuka... i w uszach mi dzwoniło, że to ten przybłąda Hawnul

zrobić musiał... Teraz już i trocha prawdopodobieństwa mam, a poczekawszy da Bóg, naniżę więcej dowodów.

— Aleć go w domu przecie i w okolicy nie było — zawołał Bruderkowski — o! la boga! chyba przez plenipotentą strzelał... co się waści przyśniło.

— A to właśnie dowód, że go w domu nie było — zawołał Turzon — tylko mnie proszę bacznie i cierpliwie posłuchać i sekretu dotrzymać... Trzeba tedy waszmościom wiedzieć, że kiedy mi w życiu myśl jakaś tak *insperate* do głowy zakolące, co to nie wiedzieć zkąd przyszła i z kogo się rodzi, mam to sobie za zesłanie Boże, za natchnienie ducha świętego i łącznie się jej nie rzucam. Toż i tutaj wziąłem się podejrzania dla tego, że na niczem nie oparte, trzymało mi się więcej serca niż głowy. Spauzowałem, przemyślałem i poszedłem na wywiady. Trzeba wiedzieć, że Hawnula i djabeł nie zna u nas, Żyrmuński go tu zasadził, ale tyle o nim wie a może mniej co ja. i odstąpić go musiał. Wiła może z nas wszystkich najgłębiej zajrzał, ale z niego i trybuszonem nie dobędziesz jak się zatnie. Cóż ja tedy robię. Jest tam Paweł Żużel ekonomem, biorę go na wódeczkę, gawędkę, i badam. Wyspowiadał mi się z całego żywota swego pana, ale tylem zeń skorzystał, że nabył przekonania, iż człek i życie to nieczyste. bo się okrywa tajemnicą, co wiele do rozumienia daje. Nie chowa kto nie ma co kryć. Dowiedziałem się i tego. że Hawnul wyjeżdżając z Krasnego lichu wie dokąd, nie po ludzku sobie począł i tropy po za sobą zacierał... bez ludzi i bez koni, najętym furmanem gdzieś się wysmyknąwszy... Rozumny zając robi labirynty po rosie, żeby go psy nie wytropiły, ale ogary go najdą, byle miały cierpliwość pójść za jego kręcielstwa śladami. Przyszło mi być

ogarem tutaj. Pojechałem do miasteczka, znalazłem i stancję furmańską i woźnicę żyda, ale ten odwiózł go tylko do Słonima i tam porzucił go w jakiejś gospodzie. Posłałem i tam szukając języka, ale kawaler nie w ciemie bity, ze stancji się na stancję przenosił, i jak w wodę wpadł. Teraz pytam się was, czy nie słusznie podejrzewam tego, który się tak bacznie okrywa i tai z tem co robi? Jużem dalej nie schwytać nań nie mógł aż do dnia dzisiejszego, tylko go pilnować kazał na rogate, żeby mi znać dali jak on jeuo się pokaże i ledwie z bryki dziś wyskoczył, ja do niego.

Jak mi w oczy spojrział, zmieszał się, i zajrzawszy dziś w duszę, przysiądz bym mógł, że nie kto inny jest zabójcą Wilczury jeuo on. I to dodam, że schwytał u drzwi gwintówkę jego, gdy ją na stancję wnoszono, a palcem sprobowałem kalibru... Chcecie waszmość pójść o zakład ze mną o okseft węgrzyna, że jak się tylko dowie o tem, że kulę mamy, strzelba ta zniknie??

Wszyscy milczeli, ale po chwili rozmysłu rozwiązały się usta; zdania były bardzo podzielone. Jedni to ganili Turzonowi, że tak nań napadł i napłoszył go, dla pewności moralnej narażając pewność sądową, bo w nim mógł baczność obudzić; drudzy zaprzeczali całkiem, inni uderzeni prawdopodobieństwem, za jedno z nim trzymali. Hałas się wszczął i rozprawy bez końca, ale ostatecznie uradzono wyczekiwać i milczeć, patrzeć, słuchać i więcej zbierać dowodów, gdyż te jakie miano, całkiem się zdawały niedostateczne.

Sam to zresztą Turzon uznawał i o sekret prosząc, oznajmił, że do Wilna wyjedzie za dni kilka, jedynie dla dojścia o Hawnulu prawdy i szukania śladów jego, co pochwalono, a nikt się temu poświęceniu nie zdziwił

bo każdy na równe był gotów, tak zabójstwo tego nie-szczęśliwego wszystkim zakrwawiło serca.

Hawnul, jak się później dowiedziano, konie najawszy świeże, mimo nocy ciemnej i złej drogi, choć zrazu nocować miał w miasteczku, do domu w godzinę po spotkaniu z Turzonem pospieszył.

Sądownie go wcale nie zaczepiono i tak to sobie przycichło, ale ludzi z Krasnego ujętych nie puszczono na wolność i indagacje powoli się wlokły.

Nie też nie oznajmywało, żeby się nimi bynajmniej miał troszczyć Hawnul, który stary swój tryb życia na nowo rozpoczął.

Oczy wszystkich zwróciły się na niego teraz bardziej jeszcze, a położenie stało się najprzykrzejszem. Nie miał nikogo, co by się chciał nazwać przyjacielem i dał mu jaki dowód przyjaźni. bo Wiła nawet służył mu chęcią tylko zysku powodowany, ale się z nim nie bratał, a posługując nawet czuć nie dawał dla czego to czynił. Niepodobna też, by Hawnul nie domyślał się co go otaczało. jakie na nim ciążyły podejrzenia, jaka go zewsząd obejmowała niechęć, jak każdy krok jego, słowo, zmarszczkę nawet na czole szpiegowano. W każdej twarzy rozpoznać mógł obawę, nieprzyjaźń, wstręt a nawet pogardę i choć z charakteru odosobnienia pragnął, musiał poczuć jak ciężko żyć w pośród nienawistnych ludzi.

Tymczasem nietylko majątność nabyta i obowiązki pracy, ale konieczność moralna przykuwała go do miejsca. z którego ruszyć się, nie obudzając swoją ucieczką nowych podejrzeń — nie mógł, choćby pragnął.

Żuł patrzył nań prawie z politowaniem, tak dalece od powrotu swojego do domu po ostatniej wycieczce stał

się chmurnym, zamyślnym, i widoczniej niż kiedy nie-szczęśliwym.

Z obłąkanego wejrzenia, z brwi nachmurzonych i ust wpadłych czytać było łatwo, że w duszy jego leżała straszna jakaś tajemnica, jak rak wyżerająca mu piersi. Zobojętniał na gospodarstwo, na grosz, który lubił, na to co go otaczało, i na przemiany spędzał godziny to w pokoju żony, to samotny gdzieś w gęszczach lasu lub ogrodu. Przychodzącego po dyspozycją ekonoma zbywał lada czem. najczęściej kiwnieniem głowy i milczeniem, i jakby jego nawet oczów chciał unikać, ledwie mu się już okazywał, zostawując gospodarstwo i wszystko co wymagało stykania się z ludźmi na Pawła Żuźła, który co dzień ważniejszą stawał się w Krasnem figurą.

Zrazu przybywszy poleciał naprzód do żony, z którą długo pozostał zamknięty, ale nazajutrz Żuźła wziął na spytki i opowiadać mu sobie kazał co w jego niebytności zaszło, szczególnie śmierć Wilczury, o którą go badał kilkakrotnie. Lecz wyciągnąwszy zeń co było można, zamilkł jak kamień i więcej już ani tego ani innego nie tknął przedmiotu. Bywało choć z daleka zagląda w gospodarskie roboty, teraz ani zajrzał i w sprężdach nawet na ekonoma się spuścił.

Trwało to tak bez zmiany czas jakiś, a Filip Turzon pojechawszy do Wilna, jak w wodę wpadł. Przyjaciele nieboszczyka już się o niego kłopotać zaczęli, gdy Bruderkowski nareszcie umyślnym żydkiem odebrał wielki pakiet opieczętowany od Turzona, z nadpisem tibi soli. Pismo to jako zawierające nieobojętne dla nas szczegóły, w całości tu zamieszczamy, choć styl jego i układ niekoniecznie by na to zasługiwały.

Z Wilna dnia 22. octobris 18...

Jaśnie wielmożny panie dobrodzieju!

„Nie wiem czym na to zasłużyć potrafił abym oddalony, w sercach tych, których przyjaźń i łaskę nad wszelkie skarby świata przenoszę, pozostał przytomnym; to pewna, że na kraj świata nawet niefortunną zagnany burzą, dopóki by mi pamięć pozostała i serce w piersi niezastygłe biło, zawszebym dobrodziejów moich a braci, *ad ultimam lineam* stęskniony wspominał. Tem bardziej to dziś odzywa się, gdy co chwila przychodzi mi wśród swoich ale obcych, żałować tych których odbiegłem, a na których serca i przywiązanie i pomoc braterską rachować mogłem jako na Zawiszę. Nie będę się rozciągał z opisem przydługiej odyssei mojej do Wilna i ciężkiego tu pobytu, który by mi może słodkim był i stać się mógł nauczającym, gdyby nie obowiązki których brzemie na sobie dźwigając, muszę z największą ostrożnością i niedowierzaniem kierować kroki moje. Wiadomy JW. panu powód jaki mnie tu sprowadził, łączno więc pojmiesz na jakie narażony jestem szkopały i niebezpieczeństwa.

Zrazu nie wiedząc do kogo się udać, a nie mogąc celu podróży mojej objawić nikomu, błąkałem się tracąc dnie drogie i prawie desperując hym z plonem powrócić. Szczęściem spotkałem tu trafem krewniaka mego przez Piaskowskich, JMPana Hładkiego, który bawi w Wilnie od lat dziesięciu, zajmując się interesami Sapiechów. Może go sobie JWpan raczysz przypomnieć, boś go małym chłopcem widział nieraz w naszych stronach i polecił mi nawet abym go JWPanu submitował i odezwał się do łaskawej jego pamięci, którą sobie drogo ceni. Ten tedy człowiek postawił mnie na nogach i wprowa-

dził na bity gościuiec, którym jeśli nie do celu, to blisko niego dojść się spodziewam. Wprawdzie musiałem mu się zwierzyć ze wszystkiego, wzięwszy odeń szlacheckie i kawalerskie słowo, że nikomu o tem nie nie piśnie, ale pewien jestem, że *arcana* nasze w dobrych są rękach.

Przez tego tedy pana Hładkiego tyle już wiem, że na początek starczy, byśmy ptaszka z Krasnego wykurzyli.

Zrazum go zaraz posądzał, że nie musi być szlachcic, bo żaden z nas nigdy niedoperzem nie był i pokątach się ciemnych nie chował. Aliście trafniej to odgadłem, niżelim się spodziewał. Na razie doszliśmy, że Hawnulów familja nie jest i nigdy nie była szlachecką, bo choć wedle przywileju Zygmunta Augusta magistraty miast głównych uszlachecone zostały, tandem przodkowie Hawnulów już od zapadnięcia przywileju tego na urządach miejskich nie byli, a żadne prawo wstecznego mieć nie może działania, jak to na całym świecie przyjęto. Hawnulowie jak widać zawsze pokątnie chodzili i służyli, bo i w historii ich, o ile historii mieszczenie mieć mogą, nie jasno i nie czysto. Dochrapali się majątności, potem ją utracili, a że pamięć trwała wysokich ich łask u panujących, i stanowisk jakie zajmowali, bo jeden nawet namiestnictwo w Wilnie sprawował, nosili się jak szlachta, *nemine contradicente*. W różnych tedy fortuny przemianach trwali tak do dni naszych, podupadłszy nareszcie z kretesem na majątności, tak że kamienicę nawet ostatnią sprzedać musieli od nacisku wierzycieli. Ojciec naszego Hawnula *pauprem* się wychował u jezuitów, a podrosłszy, czy to że głowę miał tępą, czy że się na niej *patres societatis* nie poznali, wyszedł w świat bez opieki... Służył tedy na dworze księdza biskupa

wileńskiego, zrazu bardzo maluczkie zajmując obowiązki, potem coraz się pnać wyżej, aż wreszcie gdy sobie zaufanie prałata zyskać potrafił i renomę *integritatis*, powierzony mu został zarząd majątności biskupiej, na której się chleba dorobił. To on mieszczuk poznał kędyś pannę Salomeę Huńcewiczównę, dobrze urodzoną szlachecką, tych to samych Huńcewiczów którzy są u nas i pieczętują się Brogiem. A udając szlacheica sięgnął po jej rękę, a że panienka była nie posażna, Hawnul majątny, w szlachectwo tak bardzo nie wzglądało, byle szabla była u boku, ożenił się łyczak i spłodził syna, tego właśnie Samuela, który dziś w Krasnem siedzi.

Są dowody że *conditio* jegomości nie była ani pannie ani jej familji wiadomą, a zatem wedle prawa kanonicznego ślub nawet nieważny i co z tego idzie, dzieci spłodzone nieprawem by uznać można. Ale to mijam, bo nie do prześladowania dążę, tylko do wymiaru sprawiedliwości.

O ile dotąd zasięgnąć mogłem wiadomości po ludziach, Samuel Hawnul nie dla czego innego z Wilna i okolic w których był znany uciekać musiał, jeno z powodu, że tu by był na gardle może za swe zbrodnie karany.

Po ojcu odziedziczywszy chleba kawał dostatni, choć grosz miał, z początku się na rządzie majątku kapitulnego trzymał, że o złodziejstwa i fałszerstwa wyrzucony zeń został haniebnie, i gdyby nie litość duchownych, umarłby był *in fundo* gnijąc bez ratunku. Dobrodziejom się swym tak odwdzieczył, że włosy na głowie powstają, bo gdy ślad występku na kłęczkach wymodlił że zniszczono, pozwał ich o pretensje jakieś i niecnemi środkami do opłaty znacznej sumy przymusił.

Mijam i to jeszcze, a przychodzę do najważniejszego. Jako to widać człek był zawsze gwałtownych i niepo-
hamowanych namiętności, żony też po bożemu nie nabył. Osiadłszy w Wilnie, choć osławiony, miał i takich co
go za zapłatę białym czynili i jakoś się do domu uczci-
wego szlacheckiego, którego nazwisko pomine, wkręcił,
kiedy poznał dzisiejszą żonę swoją. Panna mu w oko
wpadła, a może i majątek, bo po niej do trzech tysięcy
czerwonych złotych obiecywali przyjaciele, chociaż inten-
cją było rodziców dla pomnożenia fortuny syna, aby
jejmościanka do klasztoru wstąpiła. I już się to było
złożyło, czemu i panna przeciwną nie była, gdy ów
kawaler się zjawił i przez rodziców do domu wpnszczony
został pod pokrywką niewinną. Środków jakich użył nie
wiem, to pewna, że się na tem skończyło, iż pannę już
do klasztoru oddaną, ze zgorszeniem powszechnem i
wstydem dla rodziców nie małym porwał, gwałtem
z miejsca poświęconego, z pomocą przyjaciół i że ją
sobie zaślubił. księdza do tej czynności takiego jak sam
sobie dobrawszy. Nie inwalidowała familja małżeństwa
tego aby imieniowi zacnemu plamy nie czynić, ubito
sprawę w milczeniu, a rodzice się dziecka wyrzekli,
jakby go nigdy nie mieli, i imienia jego zapominając
dobrowolnie. Były tentacje zgody kilkakrotne. był pro-
ces intentowany przez Hawnula, ale przy nim tyle nań
poczęło się okazywać czernideł, a familja ważna tak
chodziła około przytłumienia rozgłosu, że zagrożony
infamją, nieszlachectwem i świętokradztwem, Samuel
nieckać i wynosić się musiał, na co zresztą dozwolono,
byleby im zszedł z oczów i wstydu nie czynił.

To tedy pierwsza część tycząca się przeszłości, ale nie
na tem koniec, bom wszystkie kroki śledzić musiał, kiedy

się tymi czasy obracał. I nie mogło być inaczej, chcąc się przekonać czyli w istocie słuszne były podejrzenia moje. Otóżem doszedł naprzód, że z wielką usilnością zacierał za sobą ślady, co już według mnie dowodzi, że miał jakąś przyczynę ukrywania swoich czynności; powtóre że w Wilnie ledwie się ukazał, nie mając tam żadnej pilnej sprawy i interesu, a czas nieobecności swej spędził między Różaną a Słonimem, na jakichś tajemnych praktykach. Wszędzie gdzie był. furmanów i stancje mieniał. z oczów znikał i gdzie się całemi tygodniami dziewał, dójść niepodobna. Nie rozpaczam że się jeszcze więcej czegoś dowiem, ale dotąd nie mogłem, dla mnie zaś i ta szczupła garstka wiadomości już przy wewnętrznem przekonaniu mojem o winie, zdaje się Boże odpuść dostateczna do potępienia. Całe życie świadczy przeciw temu infamisowi, który wszął się w szlachtę naszą, zakałę jej czyniąc braterstwem swoim.

Czyli dość zebrałem podejrzeń, aby za moim powrotem można akcję sądownie przeciwko niemu wytoczyć, o tem zostawiam sobie czas do namysłu i narady z JWPanem i panami bracią, na których świetle polegam. Sam zaś rychło stawić się nieomieszkać, nie mając tu już tak dalece nie do czynienia jak skoro dokumenta dotyczące się profuga pozbieram czarno na białem.⁴

Taki był list Turzona i nie mało dał do myślenia podsędkowi, a że w końcu zawierał prośbę, aby pilnie zwracano oko na Hawnnla, musiał Brnderkowski przedsięwziąć środki śledzenia każdego kroku jego. Żużel się na szpiega nie przydał, i trndno było na tę funkcję kogoś wynaleźć, krom jednego Wiły, którego wedle opinji powszechnej każdy mógł kupić kto chciał. Ale do tej czynności brndnej choć potrzebnej a nawet do ten-

towania jej, nikogo znaleźć nie było można; każdy się otrząsając wymawiał, a wielu mówiło, że lepiej od razu Hawnula uchwycić, niż się do takich uciekać środków.

Naradzano się długo, i nic nie nradzono, gdy do tego *conventiculum* tajemnego przyjaciół nieboszczyka Wilczury nadszedł jedyny człowiek, który najwięcej mógł być im pomocnym w robotach takich, które powalaniem się groziły. Nie był to wcale skrupulat, chociaż zresztą nie zły człowiek, ale tak go pan Bóg stworzył, że z tego nad czem inni gdyby się im trafiło, płakali, śmiał się tylko i uragał.

Był to szlachetka odłużony, nie wielkiej fortuny, zawsze w kłopotach o grosz powszedni, posiwiał i wyłysiał w biedach, pocziwego serca, ale taki hnlaka, że by był ojca i matkę rodzoną zastawił, byle miał za co pić, tańczyć, tłuc się po jarmarkach i kołmi szachrować. Nie jednego brudn gotów się był dotknąć, kiedy mu grosza zabrakło, a grosz potem przez okno rzucał jakby go miał bez liku, zarówno na dobre jak na płocze uczynki, połowę ubogim, połowę łotrom i swawolnicom. Taki był jakiś nieład w tej nieszczęśliwej głowie, że i sam widział co robił złego i śmiał się sam z siebie a nazajutrz brnął znown tym samym tropem co wczora. Zwano go tam pospolicie Jackiem Szaławilą, chociaż nazwisko miał piękne i do uczciwej rodziny należał, ale życie mu ten przydomek tak przyklepiło do twarzy, że ledwie kto wiedział, jak się wabił, a i sam nieznanym Szaławilą się przedstawiał, na wpół żartem, jakby czując że honoru domowi, do którego należał nie czyni.

Pomimo wad i słabości swych, Jacek do sekretu, gdy go kto na szlacheckie słowo zaklął, taki był dobry

jak inny. Nie wabano się wziąć go do rady, do której się wniósł z wielką ochotą usłużenia, spodziewając się że mu się coś oberwie przy tem na hulankę. Gdy tedy przyszło do tego żeby Wiłę od Hawnula oderwać i przekabacić go na stronę przyjaciół Wilczury, pan Jacek zaraz się bardzo żwawo ofiarował do niego.

— Z waćpanów delikatni ludzie, — odezwał się śmiejąc, — gdy przyjdzie żabę albo węża brać w ręce, musicie widzieć rękawiczek lub ręki cudzej pożyczać: ja nie taki jestem wymyślny i do brudu się dotknąć nie boję, bom go dużo na świecie nawąchał. Więc jeśli potrzeba do Wiły, toś gotów i poradzę, mając z nim dawną zażyłość. Prawda, że człecze nie ciekawe, ale i tacy i gorsi jeszcze się trafiają, a cóż im zrobić kiedy o nich się ocierać potrzeba? Jakoś to ja do niego trafię, ale proszę o uchwalenie *laudum* i instrukcją co mam z nim począć.

Instrukcją tę zawarto w kilku słowach, żeby jakimkolwiek sposobem Wiłę pozyskać i uczynić go niejako dozorcą tajnym nad Hawnulem.

— Wiłę kupić kupimy, ale nie słowy, — odparł pan Jacek, który może sam także miał w tem jakiś rachunek — grosza potrzeba, to go waszmościom związanego złotym rzenykiem przyprowadzę.

— Grosz będzie, — rzekł Bruderkowski, — o to się waszmość nie frasuj, byleś potargował. Zażądał jeszcze Jacek, pewnego *quantum* z góry na koszt roboty, i otrzymawszy czerwonych złotych kilka, drapnął z niemi nie zwlekając.

Każde odwiedziny w lichym dworku pana Matjasza były wielką osobliwością, bo go byli ludzie opuścili i nie bardzo się tam kto chętnie udawał. nadejście więc

pana Jacka poruszyło cały dwór i choć z golizny jego wiekuistej wnosząc, nie bardzo się mógł spodziewać gospodarz wielkiego zysku z klienta. pospiesznie ku niemu wyleciał.

Rad był każdemu, bodaj takiemu jak Szaławiła tureckiemu świętemu.

Wiła wyglądał w istocie tak że się dziwować nie było można, że go nikt dotknąć nie chciał. brudny i oszarpany, z twarzą nabrzęklą, z oczyma w czerwone ramki pooprawianemi, nieogolony od dwóch tygodni, w podartej kapocie, wywłókł się zakrywając nią piersi, na których czy pod spodem znajdowała się koszula, pan Jacek przysięgać nie chciał.

— A co! — grunbjańsko trochę zawołał siadając posłany. — co tam u waszeci słyhać. panie Matjaszu? co? Goło, brudno. kiepsko...

Obejrzał się w koło i spluwając dodał:

— Nie do zazdrości się podobno waszeci powodzi?

— Albow ja temu winien, — piskliwym głosem rzekł Wiła, mierząc go okiem. — człek się stara, pracuje, barnje, poci, ale kiedy komu z kamienia i to nic nie da, choćby głową nakładał. A złość lndzka, a języki, a zazdrośni! Oj! łatwo zgubić, łatwo!

— Ale co to gadacie Matjaszeńku, — przerwał Jacek, — niby to my dziś się znamy i o sto mil mieszkamy od siebie? Na co tu łągać? Żeby nie te szelmowskie spodniczki które waść tak bardzo lubisz... żeby nie to nie owo i nie kiepskie sprawy w które nieraz się palce umoczyło. było by to inaczej.

— A porzuć że waść. — ofuknął się Wiła; — spodniczki! jemu w głowie, spodniczki! jeszcze mi co przemyślisz!!!

Wiła widocznie się pogniewał.

— Dałbyś pokój się darmo perzyć, co prawda to prawda. Niby ja nie wiem, wiele to u ciebie w seraju dziewcząt różnego wieku pod komenderówką starej Kachny!

Wiła aż się zatrzęsł.

— Co to waść pleciesz! sieroty wychowuję! jak mi zdrowie i honor miły, sieroty, ubóstwo, i to ludzie przekęcili, co to może złość ludzka!

— No! no! sieroty! sieroty! a jużci za przecharczowanie, że weźmiesz od nich czasem porękawiczne, to nie tak bardzo złego... Ale skarżysz się na ludzi, a krom tego ile to złych spraw przez twoje ręce przeszło!

— A czemn mi dobrych nie dają? — odpuknął Wiła, wszakże żyć muszę. Co to zła sprawa! u mnie nie ma złej sprawy, jak dla doktora nie ma paskudnej choroby. Jak drugim z nosa spadnie mnie dopiero ochłap, toż z głodn brać muszę co dają.

I burząc Wiła chodzić począł po izbie. wciąż się otulając kapotą, na której ani pasa nie było. coby ją strzymał, ani guzów do zapięcia.

— Zresztą, — dodał, — co komu do tego co ja robię? Przed panem Bogiem odpowiem jeślim winien, a ludzie kiedy mnie mają co zadawać, niech pozwą, trybunału opinii publicznej nie znam. król Stefan go nie fundował, i kpię się z ichmościów co go teraz myślą instytuować.

— Ale bo to tak się gada aby gadać, — rzekł powolniej Jacek. — nogę zakładając na nogę, jakby się na długie posiedzenie zabierał. A może więcej jest życzliwości w mojem grubjaństwie, niż w ukłonach którymi waści zdaleka na ulicy częstują.

Wiła spojrział z pod brwi i niedowierzająco się wykrzywił.

— Jeszcze byś waść mógł się wyrwać z tej biedy, — dodał Jacek, — coś kiedy dobrowolnie coraz w nią leziesz głębiej. Otóż teraz...

— Ciekawym! — spytał Wiła stając.

— Po kiego licha było brać sprawę tego przybłądy Hawnnla, albo to waść nie wiesz że go cały świat egzekruje, i że człek więcej niż podejrzany?

Wiła kiwnął głową i uśmiechnął się.

— W to mi waść grasz! — rzekł szydersko, — rozumiem. Albo to adwokat ma prawo wybierać sobie ludzi i sprawy? Ja już mówiłem, my jesteśmy doktoremami, przyjdzie kto z raną, nie racja że plugawa, musimy ją opatrywać.

— Dziś, — dorzucił Jacek, — cała szlachta bedzga na niego, to i adwokatowi się dostanie po tebkach.

— No to plunę i porzncę, — rzekł Wiła, — bo przeciw wszystkim nie pójdę.

— Tak waść mówisz?

— A tak! a cożes waść myślał? — zapytał Wiła.

— Myślałem żeś go się uczeplił na wieki... ale widzę masz rozum, i znasz swego klienta.

— Lepiej niż wy go znacie, — odpowiedział Wiła po cichu, — uśmiechając się.

— Bo to między nami mówiąc, — ciągnął dalej Jacek, — zbiera się na niego burza, może go i wyświecą z powiatu.

— Za coś? — spytał Wiła.

— Albo ja tam wiem, — machnął ręką Jacek, — ot nie masz się ty co napić, bo mi w gębie zaschło a dużo jeszcze mówić z sobą mamy.

— Wódka jest. — rzekł Wiła.

— Niech będzie i wódka, każ dać byle nie siwnchy do licha i śmierdzącej kotłówki, choć nalewka znaleźć by się u ciebie powinna.

— Jarzębinówka, — rzekł cicho Wiła.

— Jaki frant! że za jarzębinę nie płaci, to się z nią z wróblami dzieli, na nią wódkę nalewa.

— Najzdrowsza, — dodał Wiła.

— A dawaj jaką masz, — rozpierając się zawołał Jacek; po brzuchu mi chodzi głód i pragnienie, a to nie ciekawe małżeństwo. Wiła wyszedł na chwilę z kuchni, powrócił, a za nim wniosła do izby na ołuczonyj tacce butel i kieliszek młoda dziewczyna, blada, mizerna. brudno i odarto odziana, ale pięknych rysów twarzy. Na widok jej Szaławiła się uśmiechnął, mruwnął na starego rozpustnika, który pąsem zaszedł i ramionami ruszył, i krzywiąc się jarzębinówki wypił.

— Wiesz waść, — gdy zostali sami, szepnął zakąsując razowym chlebem zcierstwiałym, — wszak to się coś święci, że na tego Hawnula o zabójstwo Wilcznry pada podobno podejrzenie?

Wiła który się interpalcji tak szczerej nie spodziewał. osłupiał i wzdrygnął się.

— Co waść mówisz, ależ go w domu nie było gdy się to stało, jeździł do Wilna.

— Czy sam, czy przez kogo, cudzą ręką może, ale mówią, że panu Stefanowi mszcząc się jego prześladowania o granice, życia przykrócił, kto wie. może do procesu kryminalnego przyjdzie, nie życzyłbym się paskudzić około tego.

— I pewnie. — rzekł Wiła udając obojętność. — ale zkad to waść o tem wszystkiem słyszałeś?

— Zkąd? wszak to po ulicy chodzi.

— Hm, a do mojego dworku nie zaszło.

— Bo u waści ciągle drzwi zamknięte, jakże chcesz co wiedzieć? Może darmo pukala ta plotka i do waści, a zastawszy zaparte poszła z kwitkiem.

Wiła namyślać się zdawał.

— Porzuć do licha Hawnula. a trzymaj z bracią szlachtą. lepiej na tem wyjdiesz. — rzekł Jacek, — to moja rada przyjacielska.

— Alboż ja kiedy odstępowałem od ludzi, ludzie to odemnie odstąpili. — odezwał się Wiła. — tak i teraz pierwszy się raz dowiaduję co słyhać. i pewnie ręce uniję od Hawnulowskiej sprawy.

— Już nie darmo i Żyrmuński co go tu nam wyswatał, pomiarkował się i cofnął. coś w tym człowieku jest podejrzanego.

— Ja tam nic nie wiem, — odparł Wiła, — ale narażać się szlachcie nie myślę.

— Bo byś z gruntu przepadł. I co więcej, dorzucił Jacek. — gdybyś dziś chciał zamiast szkodzenia pomagać przyjaciołom Wilczury, zdaje mi się, że nie źle byś na tem wyszedł.

To rzekłszy zamilkł pan Jacek, a Wiła jakby go co spowilo, stanął wyprężony nagle. zamysliwszy się głęboko.

— Waś to sobie gadasz ze swego domysłu. — rzekł powoli, ale gdybym ci pomódz chciał a mógłbym lepiej niż kto inny. to by mnie jak starym zwyczajem, dla tych jakichś potwarzy odrzuciono. Wiła matacz. Wiła kobieciarz, Wiła zdrajca. Wiła pijak. Wiła szubienicy wart bez sądu, powiadają, choćby im czyste złoto dawał. to mu nie wierzą: musi więc Wiła tym stać u boku.

co go nie odpychają. Albo to myślicie nie wiem, że szlachta cała na Hawnula, a gdybym ja przyszedł do niej ofiarując pomoc, ręczę żeby mi w oczy pluęli.

— Ot wiecie co, kiedy się o tem zgadało, — rzekł Jacek; chcecie mnie za pośrednika? to wam ofiaruję. Ja ze szlachtą dobrze, oni mnie kochają, choć także dziwy na mnie plotą, że się trochę zabawić lubię; powiem przy zręczności, że waść byś im mógł pomódz i nie był od tego!

Wiła pocmokał.

— Hm! hm! mów sobie co chcesz, ale i to dodaj że Wiła ubogi, że Wiła klienta stracić nie może, nie mając czegoś na widoku.

Jakoś się zawstydził i uciał, ale Jacek dodał:

— To się roznmie, poczekaj! Zobaczysz że przyszła chwila w której z pomocą tego trutnia wyleziesz z tego dołu, w który popadłeś i do ludzi powrócisz.

To mówiąc Jacek wstał, ociągnął suknie, czapkę nałożył i zaproponował drngi raz jarzębinówkę. Nie w smak to poszło Wile, który dosyć nie ochotnie z kln-czykiem do szafki pociągnął, ale dziewczyna znowu pokazała się w progu z tacą. Znać pierwsza mnsiała być zajęta, bo inna spełniła jej obowiązek, starsza, doroślejsza, krępa, rumiana a z oczów jej patrzyło, że lat swych dwndziestu kilku nie spędziła bezczynnie i wiele nabrała w nich doświadczenia. Pan Jacek za policzek ją uszczy-pnął, odkorkowując jarzębinówkę.

— A to! — rzekł, — wcale niczego! widzę u waści różnego są kalibru sługi.

— Postaw tacę i idź do licha, — krzyknął na dziewczynę, — czemu Maryśka wódki nie przyniosła??

Dziewczyna rozśmiała się, ruszyła ramionami, obejrzała na pana Jacka i rzuciwszy tacę na stół z brzękiem i hałasem, zakrywając się rękawem, uciekła.

Wkrótce potem i Filip Turzon w ślad za listem powrócił do domu, ale nie dając po sobie poznać po co jeździł, osiadł spokojnie w swoim dworku. Narady jednak przyjaciół nieboszczyka Wilczury trwały ciągle pokątnie i zbierano się działać w sprawie, ale dowodów brakło, z których by do Hawnula przyczepić się było można. Wszystko dobrze rozważywszy na niepewne narażać się nie chciano, a z tego co dotąd nachwytał Turzon, niepodobna było uformować oskarżenia. Wiedział o tem najlepiej sam instygator sprawy i cierpliwie czekał, mając nadzieję że traf, wypadek a raczej opatrność boska światło jakieś w te ciemności rzuci. Pracowano pocichu, ostrożnie, ale dotąd bezskutecznie.

Po kilku dniach rozmysłu Matjasz Wiła przez pośrednictwo pana Jacka przyrzekł całą siłą i z zupełnem poświęceniem popierać sprawę przyjaciół pana Stefana, i jako zadatek swych dobrych chęci, przyszedł nocą do podsądka Bruderkowskiego, opowiedzieć całą dawniejszą przeszłość Hawnula, o której tak dobrze jak Turzon co po nią aż na grunt jeździć musiał, był uwiadomiony. Nie można więc było wątpić o jego szczerości, ale też i nic z niego dobyć nowego i stanowczego. Wiła zaprzysiągł się że Hawnul nigdy mu się w niczem, nawet w procesie poufnie nie zwierzył, i że tyle tylko wiedział o ruchach jego i postępkach ile ich jawnych było dla całego świata. Kazano mu postrzegać najdrobniejszych

okoliczności, ale Hawnul żył tak nstronnie i nawet ze swoim obrońcą tak się mało komunikował, że i przezeń ledwie coś i to nic znaczącego dopytać się było podobna. Niecierpliwiło to wszystkich, ale rady dać mu nie mogli. On zaś zdawał się nie widzieć wejrzeń i podejrzeń których był celem, niedomyślać się otaczających go niechęci i żył po dawnemu. Parę razy nawet przyjeżdżał do miasteczka, ukazywał się publicznie, i nie zdawał najmniej zmieszany położeniem swoim.

Tyńczasem śledzono go codzień ściślej, a Turzon który dyrygował tem, wynajdywał coraz nowe środki dowiadywania się co się w Krasnem działo. Posyłał dziadów, kobiety, badał Żużła, zasadzał swoich szpiegów w karczmie. Słowem nie opuszczał najmniejszej oświecenia się zręczności. Nie pośledniejszej gorliwości w sprawie tej dawali dowody przyjaciele zmarłego, którzy na wyścigi z Turzonem wyprzedzali się w chęci schwytania jakiegoś dowodu, jakiejś poszlaki.

Dłgie niepowodzenie tak ich wreszcie znużyło, że ustawać poczęli na siłach wszyscy, krom Turzona.

Ten długo się namyśliwszy, zawezwał Wiły jednego wieczora, pogadał z nim w cztery oczy, a nazajutrz rano zabrawszy go do bryki, pojechał do Krasnego. Nikt nie wiedział jaką miał myśl, bo się jej nie zwierzył wcale. a Bruderkowski zdziwił się dowiedziawszy o wizycie bez narady z nim i innymi przyjaciółmi przedsięwziętej; lecz snąć tak Turzonowi wypadło, by po swej myśli to zrobił.

Dojeżdżając do dworu Turzon się przeżegnał poważnie i wlepił oczy w opuszczone zabudowania Krasnego. Smutny to był widok zamieszkaney owej pustki, z której żaden znak życia nie wychodził. Zazwyczaj dziedziniec

i dom szlachcica pełne są gwaru, życia, stworzeń, sprzętu i ludzi, rzekłbyś gospoda na gościńcu. Żebrak, żyd z kramikiem, arendarz, kilku ludzi ze wsi, a gospodynie, a chłopcy, a koniki i bydelko, wszystko się to kręci i nwiја przed oknami. Tu odrobina pulsującego żywota cała się skupiła na małym podwórku w folwarku zamieszkanym przez Pawła Żużła, na wielkim zaś dziedzińcu zarosłym, żywej duszy nie było widać. Wrota ledwie się otworzyć dały. na ganku ziele rosło między dębami dylami podłogi, drzwi wszędy na klnczo były pospnszczane. Miał w tem swoją myśl zapewne Turzon że przed ganek zajechawszy prędko zlął z bryki i pod ścianę przypadł nie postrzeżony, zostawiając tylko na widoku Wilę. Zastnkano do drzwi, nierychło ruch dał się słyszeć w domu, odryglowano je i sńga uciekła, a goście weszli do pierwszej izby na prawo.

Nigdzie żywego ducha, jakby wymarli mieszkańcy. komnata wielka i czysta smutna była jak wszelkie schronienia ręką ludzką wzniesione, a nie zamieszkane przez człowieka. Na ścianach krzywo i niedbale pozawieszane pyłem przykryte. tu i ówdzie czerniały portrety Hnńcewiczów i Kraśniańskich, dawnych miejsca dziedziców. o które widać nikt nie dbał, bo ich nawet litościwa z pajęczyn nie otarła ręka. Na środku stół wielki krzywo także stojący. kilka stołków prostych i nic więcej. Żadnego śladu by tu kto żył i pracował, by nawet przechodził tędy.

Jakiś czas stali tak patrząc na siebie dwaj przybyli, gdy boczne drzwi otworzyły się powoli i blada twarz Hawnuła ukazała się z nich z błyszczącymi oczyma. Znać nie spodziewał się ujrzeć Turzona, bo się zacołał, zmieszał widocznie. Klamka zadrżała mu w rękach i

była chwila jakby chciał uciekać, lecz natychmiast odzyskał panowanie nad sobą i powoli, dumny, chmurny, posępny wszedł do izby.

Turzon śledząc każdy ruch jego, pierwszy się zbliżył ku niemu.

— Niespodziewanym jestem gościem—rzekł powolnie cedząc słowa i niespuszczając z oka Hawnula — ale są przykre konieczności w życiu ludzkim, które człowieka wiodą i w nieprzyjacielskie progi... Gdzie idzie o pomstę za zbrodnię i wymiar sprawiedliwości, tam względy podrzędne ustąpić muszą.

To mówiąc i słowa swe obrachowawszy widać na to aby były dwuznaczne, Turzon zamilkł, więcej im jeszcze nadając znaczenia i pozwalając się z nich co chciano domyślać. Hawnul pociągnął wzrokiem po obu przybywach, ściał wargi i nic nie rzekł, czekając dalszego tłumaczenia, ramionami tylko ruszył, udając obojętną spokojność.

— Uprosiłem też Wiły, aby mnie w dom pański wprowadził — dodał Turzon — gdyż stanowezo pomówię z sobą mamy.

— Czego pan chcesz? — zapytał wybuchając gospodarz — mów, mów, a żywo, jeśli przypadkiem wybrałeś sobie tę chwilę, to moja dola posłużyła mi widzę jak zawsze, jeśli umyślnie, to nie masz litości... ale mów...

— Naprzód coś to za chwila? — zapytał Turzon — jam jej nie wybierał, ale poczekać mogę.

— Poczekać! — Hawnul się uśmiechnął szydersko nie, nie, zbądźmy to...

— Ale coś się tu dzieje? — dorzucił Turzon niespokojny.

— Chcesz waćpan wiedzieć? — uspakajając się rzekł

gospodarz — no to dowiedz-że się. że mi żona leży w boleściach, że co chwila czekam wyroku jej życia lub śmierci i życia lub śmierci drugiej istoty. które od niej zawisło...

To mówiąc nachmurzył brew Hawnul, spuścił głowę, a jakkolwiek Turzon do litości usposobionym nie był, zacofał się słysząc te słowa, ujął za czapkę z pod pachy i zabierał się do wyjścia. Zapomniał kogo miał przed sobą. widział tylko człowieka, który bolał nie swoim cierpieniem; to go wzruszyło do głębi.

Hawnul niedając mu odejść. pochwycił go za rękę silnie i odezwał się głosem coraz podnoszącym groźniej:

— Zostań waćpan i mów, nie chcę byście mnie może w sroźszej niż ta godzinie znachodzili, gdy los do reszty odejmie przytomność, mów waćpan. z czem przychodzisz?

Turzon tem schwyceniem za rękę i waćpanem uczuł się obrażony, wyrwał się, stanął i rzekł pokręcając wąsa:

— Idzie tu o sprawę kryminalną. o śmierć Stefana Wilczury...

— Cóż ja z nią i z nim mam wspólnego? — nśmiejąc się zapytał Hawnul.

— Wszystkie podejrzenia skierowały się na poddanych waćpana — podchwycił Turzon — nikt inny uczynić tego nie mógł; *is fecit cui prodest*. Przybywam w imieniu przyjaciół, rodziny, prosić waćpana, a w potrzebie i sądownie go pozwać, abyś wspólnie z nami działał i starał się o wykrycie zbrodniarza. Kto broni winnego, sam winien.

— Ja? a kogoż ja bronię? — rzekł spokojnie Hawnul.

— Bronisz waćpan ukrywając tych, którzy mogli do spisku i zbrodni należeć: sąd wzywał go o wydanie

trzech ludzi, a żaden dostawiony mu nie został, ci ludzie kryją się w Krasnem.

— To ich sobie odkryjcie i zabierajcie — odezwał się Hawnul ruszając ramionami.

Mówił to z największą pozorną spokojnością, ale potlał mu się po bladym czole, ale oczy mimo przymuszonego ruchu powolnego, strzelały jakąś obawą, ale sił mu zabrakło i kończąc te słowa, upadł na blisko stojącą ławę.

Turzon popatrzał nań, pokiwał głową i zimno rzekł tylko: — Nie myliłem się...

Jak gdyby zrozumiał ten szept niewyraźny, zerwał się Hawnul na nogi, chwycił się za stół i milczący czekał co będzie dalej: ale Turzon ujął za czapkę i zabierał się do wyjścia. a krzyk boleśny, który się dał słyszeć z dalekiego pokoju, przyspieszył pożegnanie. Hawnul odwrócił się z przestrachem ku drzwiom, chciał biedz, nie wiedział co począć.

— Ani miejsce, ani pora po temu, byśmy tę kwestję dłużej rozbiali — dodał mecenas — odkładamy ją na później.

Hawnul już go był do drzwi odpuścił, gdy nagle zdawał się czy gniewem czy innem jakimś zapalać uczniem, wstrząsł się, poskoczył i zawołał:

— Czekaj waść! wodę warzyć, woda będzie, grajmy na otwarte.

Turzon spojrział, ale tak się nie spodziewał zagadnienia, że go zrazu nie bardzo zrozumiał.

— Dość już tego — dodał gospodarz głośno i stanowczo — napróżno byś mi waćpan krył czego chcesz odemnie i po co tu przybyłeś, ja wiem wszystko, wszystko, najtajemniejsze myśli wasze, podejrzenia, zachody,

badania, usilność, aby mnie zgubić... Mówmy otwarcie...

— A i owszem, mówmy otwarcie! — odparł obrażony Turzon.

— O co mnie podejrzycie, o to żem zabił Wilczurę? nieprawdaż?

— Ani słowa i więcej to niż podejrzenie i domysł — rzekł Turzon — mamy dowody moralne...

— Cha! cha! dowody moralne — zaśmiał się Hawnul — strachy na Lachy... Wiem po co waćpan jeździłeś do Wilna i czegoś się dowiedział, wiem, żeś śledził kroki moje, żeś na mnie czyhał gdym powracał... Czy waćpan myślisz — dorzucił szydersko — żebym był tak głupi, i popełniając nawet zbrodnię, zostawił ślady za sobą, by jej dać dowieść potem?? Przypuściwszy nawet z mojej strony tę niekalkulację, bo występek tego rodzaju byłby bardzo fałszywą rachubą, możesz-że waćpan sądzić, bym nie potrafił śladów zatrzeć po drodze?

Zuchwalstwo i bezwzględ, z jakimi te słowa wymówione zostały, zrazu tak zmieszały Turzona, że języka w ustach zapomniał, ale wprędce zwracając oczy na Hawnulę, odpowiedział:

— Wszystko to być może, mości panie, ale rzadka zbrodnia, której by pan Bóg odkryć nie dopomógł; ludzkie rachuby mylne, a rozum występnych zawodny, widzi się oku winnego, że wszystko przewidywał, aż maluczkiego czegoś zapomni, co po nici do kłębka doprowadzi...

— Ale cóż, do tysiąca djabłów — wrzasnął zapominając się Hawnul, który wyciął w stół pięścią tak, że się szyby w oknach zatrzęsły — ale cóż pozwala tę myśl nawet przypuścić?

Turzon w sercu się uradował widząc, że zimna krew

opuszczała gospodarza i rzekł całkiem spokojnie z wyższości, jaką mu nadawała flegma, którą umiał zachować:

— Bardzo wiele, kto się podszył pod szlachectwo, kto popełnił *raptum* i *sacrilegium*, temu do zabójstwa krok tylko.

— W moim domu! w moim domu! — ryknął Hawnul zanosząc się — waćpan się nie obawiasz, żebyś mu kości pogruchotał!!!

— Prawda się niczego nie boi — zimno biorąc za szablę rzekł pan Filip.

— Ale to fałsz! ale to potwarz! — unosząc się krzyczał gospodarz — ale to czernidło ohydne... takim szlachcie jak waćpan a może i lepszy...

— To pewna, że inny — rzekł cicho Turzon.

— Kto mi dowiedzie *raptum*? kto mi dowiedzie świętokradztwa? tyle co waćpan zabójstwa... dowódźcie! dowódźcie! ścinajcie i wieszajcie, aby prędko... a nuże! proszę, wywołuję... gołemi nie szermujcie słowami! czekam, proszę!!!

Turzon na tę chryję ruszył tylko ramionami.

— Wszystko — rzekł — przyjdzie w swoim czasie.

— Wieszali na mnie potwarz — dodał gospodarz — aby mi ciężar jej głowę ugiął do ziemi, ale nie! Zjecie diabła, nim co poczniecie ze mną, nie pochylę się, nie padnę, dostoję, by was przekonać zem niewinny.

Turzon popatrzył się i rozśmiał się, Hawnula jeszcze gorzej rozpalil gniewem.

— A gdybym był i winny! — krzyknął — no, to dowódźcie, spróbujcie! Gdybym był i winny, gdzie są fakta? gdzie ślady! Nie byłem w domu, nie byłem w okolicy, gdy się to stało, wskażę gdzieś przesiedział

pod te czasy, już cię o trzydzieści mil strzelić z gwin-tówki nie mogłem.

— Wolnoż waćpana dobrodzieja spytać — z flegmą zapytał Turzon — gdzie przebywałeś gdy nas to nie-szczęście dotknęło?

Hawnuł z kolei pytania się niespodział i zaciął na chwilę. czy mu tylko błysły. a Turzon w głos się rozśmiał.

— Wytłumaczę się gdzie będzie pora i miejsce po temu — zabełkotał znięszany śmiechem. — Zaprawdę! macie o co robić tę historję — dodał — o jednego trutnia i paliwodę, jakiemu stu podobnych włóczy się po świecie.

— Mości panie—rzekł Turzon—z tem proszę ostrożnie, *de mortuis nil nisi bene*. żywy byłby się sam o swą krzywdę upomniał, umarły znajdzie przyjaciół co za niego staną.

— Ani żywegom się bał, ani umarłego lękam—odparł Hawnuł — słyszysz waćpan. — Podniósł głos silnie, ale mocniejszy jeszcze krzyk bóleści. krzyk jakby ostatniego wysiłku i skonania zagłuszył jego słowa, rozległ się on po domku jak groźba, jak przekleństwo, jakby odpowiedź grobowa na niebaczne wyzwanie. I Wiła, obojętny dotąd świadek rozmowy. Wiła nawet pobładł słysząc go, Turzon zamilkł, a Hawnuł drzwiami rzuciwszy za sobą pojechał.

— Jedźmy—odezwał się Turzon—nie ma tu co robić więcej. Bóg podobno podjął się kary za występki, zo-stawmy zbrodniarza mściwej jego prawicy, bo gdzie sprawiedliwość Boża dotyka, tam ludzka milczeć i ustą-pić musi. Idźmy i otrząśmy proch z nóg naszych, od-chodząc z tego domu przekleństwa.

Paweł Żużel, z którego opowiadał tę historję łatam jak mogę, dodając do niej szczegóły, jakichem się później od starych ludzi w tej okolicy zamieszkałych dowiedział, stał w ganku w czasie tej sceny, której wyrwane słowa uszu jego dochodziły, stał i truchlał ze strachu. Po odejściu bryki, która wiozła Turzona i Wilę, pozamykał drzwi, a że mu od rana w gotowości być kazano na wszelki wypadek, siadł na ławce i ponuro się zamyślił.

Po krzyku ostatnim, nie tylko w domu całym ale i po podwórzu się rozlegającym, głęboka cisza nastąpiła we dworze, jakby złowroga chwila pokoju, który poprzedza burzę, by ją uczyniła gwałtowniejszą i straszniejszą. Ławka, na której siedział Żużel, tak była umieszczoną od słupa do ściany ganku, że z niej doskonale widać było, co się działo w pierwszej izbie, a że blask dniowy przecinały drzewa stare i szyby przepalone nie łyskały odbiciem jego, oko szlachcica mogło rozeznaczyć nie tylko sprzęty i osoby, ale nawet drobne przedmioty pobliskiego, pustego pokoju, w którym przed chwilą miała miejsce rozmowa.

Wzrok oczekującego beczynn timer błędził bezmyślny po ścianach, po wiszących na nich portretach starych i kołowaciał wyteżony na jedno miejsce z braku zajęcia.

Dość długo izba całkiem była pustą, nagle drzwi się boczne otwały znowu, zabłysło w nich blade światło i wszedł Hawnul trzymając coś na ręku. Co to było, zrazu Żużel rozeznaczyć nie umiał, ale bielizna obwijająca ciężar, który niósł przyciśnięty do piersi, uderzyła ekonoma. Hawnul zdawał się być nieprzytomny i cały zajęty tem co wniósł do izby, oczy jego spoczywały utkwione w tym tajemniczym przedmiocie, który nie bez

wahania, powolnie, z ostrożnością złożył na wielkim stole w pośrodku izby.

Dopiero w pieluchach rozstłonionych rozeznał bladą, żółtą, jakby woskową twarz maleńkiego dziecięcia, którego ciało zdawało się rozeznać było można, że było martwem od dawna. Hawnul jednak nie zdawał się tego postrzegać lub wierzyć temu nie chciał, zbliżył swe usta ku niemu, szukał nimi oddechu, śledził ruchu, oddalał się, przysuwał, cofał, kładł i rzucał martwe zwłoki nowonarodzonego.

Niema rozpacz miotać się nim zdawała. Cisza głęboka, zakłeta, panowała wśród tej sceny bolesnej, tak, że byłbyś posłyszał listek upadający z drzewa i przelatujący powietrze. Żużel powiada, że zmartwiał, gdy nagle, nie wiedzieć z kąd, śmiech straszliwy i długi dał się słyszeć w pokoju, ale nie z ust Hawnula pochodzący, inny, zimny, suchy jak szelest traw na błotach, jak chrzęst gałęzi w lesie. Hawnul głowę odwrócił, oczy wlepił w jeden z portretów, coś na nim widać postrzegł przerażającego, ale Żużel nic już więcej nie zobaczył tylko w jedną stronę padającego na wznak pana, a z drugiej osuwający się z łoskotem ze ściany i obalający na podłogę, portret Polikarpa Huńcewicza.

Wbiegł zaraz do izby ratować omdlałego, który padając o stół sobie głowę rozkrwawił. Choć z nie małym strachem zbliżyć mu się do niego przyszło, larum zrobił wielkie w domu, zbiegli się ludzie, podniesiono Hawnula, poczęto go trzeźwić, a że nie łatwo przyszło do przytomności go przyprowadzić, wysłano zaraz po doktora do miasteczka. Tymczasem trup dziecięcia w tem zamieszaniu pozostał na stole w pierwszej izbie zapomniany.

Żelazni to dawniej byli ludzie, bo po tylu wstrząśnieniach i jakimś nadzwyczajnem zjawisku, które o ten stan przyprawiło Hawnulę, nie zdawało się, żeby mógł powstać rychło na nogi, a jednak nim lekarz nadjechał z miasteczka, nim zmierzchno, już przyszedł do siebie, z łóżka się zerwał i rozepchnawszy sługi, leciał do swego dziecka.

Proszę sobie wystawić struchlenie przytomnych, którzy za nim w ślad do izby się wcisnęli, bojąc się by go drugi raz rozpacz nie obaliła, gdy na stole nie ujrzeni zwłok nowonarodzonego, pieluchy tylko rozrzucone po ziemi, a drzwi na rozcież otwarte.

— Co się stało z dzieckiem? — zasyczał Hawnul — gdzie dziecko moje? kto się śmiał dotknąć dziecięcia?...

Nikt nie odpowiedział, ale część sług rozbiegła się do pani, do kobiet, dowiadując, szukając, i wkrótce co żyło zebrało się do pierwszej izby, ale nikt o dziecięciu nic powiedzieć nie umiał.

To pewna, że w czasie gdy Hawnul leżał bez przytomności omdlały, nikt do domu nie wchodził i progu jego nie przestąpił, parobcy poglądali na drzwi, osób kilka było w dziedzińcu, byłby ktoś widział przecie.

Porwał się za włosy Hawnul, oczy mu stanęły słupem i po raz pierwszy ludzie go zobaczyli strasznym rykiem zachodzącego się od płaczu.

Nie były to łzy zbolełego człowieka, co ulgę przynoszą, ale ryczenie rozpacz, ale coś strasznego jak napad choroby, przenikającego obecnych do kości i włosy im jeżącego na głowie. Chwilami ryk ten ustawał nagle, to znowu z piersi wybuchał jękiem okropnym, rozgłośny, potężny, pełen słów dziwnych, połamanych wykrzyków, płaczu, wyrzutów, gniewu i złości.

A że się miotał wśród tego niesłychanego ryku jak opętany, ludzie go pochwycili przez litość i chcieli zanieść do łóżka, ale obróciwszy się, otrząsnął tylko i jak pył ich od siebie odrzucił. Twarz zakrywając rękami, dziwnymi głosem się zachodził, gdy drzwi idące wprost od pokoju chorej żony do pierwszego, które zawsze bywały zamknięte, rozwarły się i kobieta w biele, blada, wielkiej piękności, z czarnymi rozognionymi oczyma, nagle wybiegła z nich, stając przeciwko niemu. (Chociaż z razu postrzedz jej nie mógł, bo oczy miał zakryte, Hawnul jakby przeczuł to ukazanie się żony, odpędził ludzi wskazując im drzwi ruchem ręki rozkazującym, i pozbywszy się ich, zatrzęsawszy wniściami, stanął jak obwiniony przed sądem, wobec niewiasty, której wzrok szukał napróżno czegoś jeszcze więcej prócz niego.

Żył sam z całego tłumu dworaków przyzostał pod drzwiami i niepohamowana jakaś ciekawość oko jego zwróciła w szparę, przez którą mógł reszty tej sceny być świadkiem.

Nic, jak powiada, straszniejszego w życiu swoim nie widział. Kobieta jak cień wybladła, schorzała, drżąca, stała we drzwiach słupem, a olbrzym ów silny przed chwilą, oparty o stół winowajca, zginał się unikając wejścia jej oczów. Trwało to chwile tylko.

— Gdzie dziecię moje? — odezwał się głos kobiety— Samuelu! tyś je porwał odemnie? gdzie jest dziecko moje? powiedz... mów nielitościwy coś z niem uczynił?

Hawnul milczał z głową spuszczoną, po chwili wyrzekł niewyraźnie:

— To był trup, to był trup... dziecię nie żyło...

— Kłamiesz. chybaś ty sam je zabił... żyło, żyło dziecię moje! tyś sam je zabił... dziecię moje, oddaj mi

dziecię, zbójco. oddaj mi syna... weź życie żony, oddaj syna!

— Cicho szalona kobieto — stłumionym głosem rzekł mąż — nie wywołuj z piersi mojej gniewu, z oczów płomieni, z rąk...

Ale mu głosu zabrakło.

— Cóż? myślisz że się lękam? zabijesz mnie jak zabiłeś dziecko, o! ja się już tego nie boję — odpowiedziała — nic mnie już do życia nie wiąże, wczoraj bym cię była o nie prosiła, dziś wołam śmierci jak wyswobodzenia.

— Ale na Boga ci się klnę kobieto — przerwał Hawnul bijąc się w piersi z rozpaczą — że najstraszniejsza tajemnica otacza mnie w tej chwili, nie wiem sam co się dzieje ze mną. Przyniosłem je tu ogrzewając piersią moją, położyłem, chcąc odżywić, dając mu część życia mego... gdy nad głową dał się słyszeć śmiech szatański, śmiech grobowy i padłem przerażony nim o ziemię... Patrz, oto ślad na skrwawionej skroni mojej, gdy powstał, jużem nie znalazł dziecka naszego, porwano je, skradziono, sam nie wiem co się z niem stało.

Kobieta słuchała drżąc, a oczy jej padły na pieluchy leżące na ziemi. przybiegła ku nim, podniosła je, przycisnęła do piersi, lzy puściły się z jej oczów, tuląc bieliznę do łona, siadła na ziemi bezprzytomna, jakby niemowlę karmić miała.

— Tak — odezwała się po cichu — jam nie powinna była mieć dziecięcia, anim godna była pożegnać istoty, która żyła ze mną i ze mnie, w której była część mojej krwi i część mojej duszy. Za grzechy moje, za grzechy ojca musiał Bóg porwać ją odemnie. Na cóż się było spodziewać? Musiałam dać życie trupowi obumarłemu przed narodzeniem, jakieś poczwarze, a dla siebie

męczarni, nie mogłam, nie powinnam była njrzeć ani uśmiechu dziecięcia, ani posłyszeć płaczu co życie poczyna. Ojciec jego zbrodniarz, ja z obręczą żelazną na szyi niewolnica, zamiast miłości łączyła nas z jednej strony namiętność bydła, z drugiej przestrah niemy... Szalbierz związkowi błogosławił świętokradzką ręką, którą złoto ususzyło, rodzice nas odrzucili, świat nas odepchnął, ludzie się wyrzekli wzdrygając, nie! nie! jam nie mogła mieć dziecięcia.

I zaszła się od srogiego płaczu, a Żużłowi słuchającemu pod drzwiami włosy stanęły kołem. Hawnul wytrwał niemy, wysłuchał na pozór chłodny, zbliżył się, wziął ją na ręce jak dziecię i nie opierającą mu się, na poły omdlałą, wyniósł do drugiej izby.

Tyle widział i słyszał Żużel, a dzień ten takim go jakimś zabobonnym przejął przestrahem, że postanowił zaraz się odprawić, i zabrawszy manatki swoje uciekać z Krasnego. Ale do wieczora wybrać się nie mógł, a nazajutrz rano, gdy panu przyszedł za służbę dziękować, zastał rzeczy tak wielce zmienione, że mu się wczorajsze wypadki marą i sennem wydały widziadłem.

O dziecku mowy już nie było. Hawnul wyszedł ku niemu z twarzą dawniejszą, bez śladu prawie rozpacz i niepokoju, zimny, pan siebie i prawie szyderski. Znać było, że temu co wczoraj się stało, sam już nie wierzył i inaczej to sobie jakoś tłumaczyć musiał.

Żużel oglądając się trwożliwie po izbie, dostrzegł tylko, że portretu Polikarpa Huńcewicza nie było ani na ścianie, ani na podłodze i całkiem gdzieś zniknął.

Hawnul jakby się domyślił o co go Żużel miał prosić, nie dał mu nawet ust otworzyć.

— Miałeś waść dosyć przykrego zajęcia pod te czasy—

rzekł spokojnie — jestem kontent z waszeci... wybierz sobie ze stada parę klaczy z łoszętami, a nie mów mi o zmianie kondycji, bo o tem i słyszeć nie chcę. Rozpakuj manatki i pozostań z nami... źle ci nie będzie.

Rodzaj daru szczególniej ujął nadzwyczaj Żuźła. Szlachcicowi gdyby był dał bodaj jakie tysiąc złotych, wszystko nie to, co parę klaczy ze źrebiętami; trafił w słabą stronę przebiegły Hawnul, dając mu zamiast jakiej takiej rzeczywistości, droższą nad wszystko nadzieję. Para klaczy!! to całe już stado w przyszłości, a co pociech! co marzeń, a co kłopotu! Żuźel za kolana go ścisnął i ujęty tym darem, pozostał.

W domu powróciło wszystko do dawnego porządku. drzwi się znowu pozamykały, ustały wymówki i płacze, pani legła w łóżku... o dziecku ani słychu co się z niem stało. Hawnul się prawie nie pokazywał, wyszedł obdarowawszy ekonoma, zamknął się i oko go ludzkie nie postrzegło więcej. Czeladź, że się niezmiernie obawiała pana, ani pisnęła o wypadku wczorajszym, i po cichu tylko między sobą, ścian i okien unikając, słówko czasem rzuciła, ale cała historia ta po za granice Krasnego nie wyszła.

W tydzień jakoś po tem wypadło Żuźłowi objeżdżać granice majątku, a że po ekonomsku myśliwym był z nudy i z potrzeby, bo zajaczek lub ptak jaki dla stołu jego nie był obojętnem nabyciem i charty jego włóczyły się za nim wszędzie czy chciał czy nie chciał, byle wsiadł na koń,— i tą razą czereda się za nim poniosła. Właśnie około nowej Semenowej barci z pod nosa Czerkiesowi dał susa stary szarak z kotliny i drapnął w łozy. Cała zgraja poszła za nim, a koń Żuźła przywykły do dojeżdżania za chartami, ani go wstrzymać, popędzili

się więc przez błoto wprost na Czerczą mogiłę. Nie wiadomo co się stało z zającem i bardzo być może, że wedle zwyczaju w takich razach, musiał dać nurka w znajome sobie lisie nory na hrudku, bo go charty z oczów straciły, a Żużel nie oparł się aż w takich troszczach, że koń mu się w nie po brzuch wpakował. W tem słyszy, a tu psy wyją, szczególnie stary Szumlas gończy, wyga na jedno oko ślepy, który zawsze chartom dotrzymywał kompanji, począł się aż zachodzić dziwnym głosem koło Czerczej mogiły.

Żużel, który miał powracać do Semenowej barci, począł psy nawoływać, ale ani sposobu, larum ogromne zrobiły koło mogiły, i wyją a wyją aż strach.

— Co u licha?—pomyślał ekonom—kiego tam zwierza napytały, że się tak drą?

Pchnął więc konia przez ciekawość i wydobywszy się z rudy, po kępach, ostrożnie, pod zaroślami dostał się na twardy grunt, na którym stał ów kurhan rozkopany.

Spojrzał, wszystkie psy jego siedzą w koło i wyją, zbliżył się i włosy mu aż na głowie powstały, tak okropny widok uderzył oczy jego. Na samym mogiły wierchołku leżało nagie ciało niemowlątka, niedawno narodzonego, straszliwie poszarpane, pokłóte dzióbem i szponami ptastwa porozdzierane w kawałki.

Mógł jednak Żużel rozpoznać w niem, jak powiadał, trup dziecięcia, który znikł z izby w owym dniu pamiętnym. Kto go tu zaniósł, jak się tu dostało na pastwę dzikim zwierzętom, nie umiał sobie wytłumaczyć. Skóra na nim zadrżała, ostyglł, obejrzał się, przeżegnał i już nie oglądając się na psy swoje, ruszył co żywo do domu.

W pierwszej chwili myślał zaraz dać znać Hawnulowi, ale głębiej wzięwszy te rzeczy, zawahał się. A nuż go Hawnul posądzi? A nuż ta wiadomość na nowo go wprawi we wściekłość? Z drugiej strony, możnaż bez pogrzebu zostawić niewinne zwłoki? A jeśliby je sam pochował, czyby ztąd nie urosło podejrzenie i niebezpieczeństwo dla niego?

Nie wiedzieć co było począć i Żużel mocno się zafrasował, ale że do Hawnula, mimo to wszystko, był jakoś niewytłumaczonym sposobem przywiązany i obawiał go się niemniej jak szanował, dobrze się namysliwszy i rozważywszy, poszedł do niego. Wedle zwyczaju potrzeba było po trzykroć zapukać do izby, w której siedział, w nagłym razie, ale teraz i pięć powtórzyć musiał, nim mu ze środka wnijść dozwolono.

Hawnul siedział na stołku pod piecem, sam jeden z głową zwieszoną, czegoś zbladły i zastygły, spojrzał na wchodzącego i odezwał się gniewnie:

— Czego mnie waść turbujesz? rób sobie co chcesz, wszakżem wszystko zdał na ciebie, nie masz mnie co pytać.

— Ale bo to rzecz taka... wypadek... z którym ja sam nie wiem co począć — odpowiedział Żużel z niskim ukłonem.

— Cóż to takiego? — obojętnie spytał gospodarz — głupstwo jakieś...

Choć nie bardzo zręcznie, zmieszany ekonom ułożył opowiadanie swoje, a postrzegłszy wrażenie, jakie ono czyni na Hawnulu, ledwie je trzy po trzy mógł dokończyć, pan Samuel jak sprężyna dźwignięty powstał z siedzenia, ręce załamał, oczy mu stanęły słupem i krzyknął ogromnym głosem, od którego Żużel aż struchlał:

— Moje dziecko! moje dziecko!

I z tym krzykiem, bez czapki, wyrwał się z izby, roztrzając sprzęty. Żużel pogonił za nim, ale nie było sposobu dopędzić ani zatrzymać, przez płoty, przez rowy, przez zarośla, oszalały biegnąc znikł mu z oczów Hawnul, nim go potrafił doścignąć.

Paweł siadł na konia pod folwarkiem i najkrótszą drogą popędził ku Czerczej mogile, co miał tchu, ale nim jej dopadł, już go Hawnul wyprzedził. Żużel postrzegł go zbierającego w połę kapoty biedne szczątki dziecięcia, zmiatającego ziemię, z którą się zamięszały, a tak strasznego wśród tego grobowego zajęcia, że mu się zdał obłąkanym. Słowa się z niego dopytać nie było można, ani pokierować nim, ani dowiedzieć się czego chciał. Nareszcie gdy zebrał zwłoki dziecięcia Hawnul, z okiem wlepionem w te reszty istoty mu drogiej, odwrócił się od mogiły i począł iść ku dworowi nie patrząc pod nogi, instynktem jakimś ale żywo miotany uczuciem wielkiem, które pierśią jego stalową miotало.

Blisko wsi był smętarzyk wiejski, ocieniony kilką wierzbami i sosnami, ale jak zwykle bez żadnego ogrodzenia i rowu nawet. Na nim, wedle starego tych okolic zwyczaju, nie tyle krzyżów chrześcijańskich stało, co poziomych budowelek w kształcie małych chatek wiejskich. na wzór jeszcze pogańskich izb, pokrywających groby. Na mogiłach uboższych ludzi leżały dyle grube, na dwóch bierwionach sparte, a z przodu na kształt daszka wyrobione, wizerunki domków, których zbudować możność nie dozwoliła. Znać w tej stronie, w prastarych jeszcze czasach zwyczajem być musiało dla każdego zmarłego, czy dla całych rodzin wspólne stawiać grobowce, w kształcie chatek w zrab wznoszone. a dranicami kryte. Pod temi

budowlami stawiano zapewne w dniu przypomnienia (spominki) na Dziady, w dzień zaduszny, obłaty (czyli obłaty, ofiary) makową jurszkę, pęczak, kutię i inne potrawy poświęcone duchom zmarłych. Później na daszkach tych wiejskich pomników stanęły krzyżyczki; chatki poczęli stawiać bogatsi tylko, ubożsi rodzajem dachów bez zrębów pokrywali mogiły, w ostatku kłoc na podobieństwo dachu obrobiony zwyczajową chatę (*domowinkę*, tak zowią ludzie do dziś dnia trumnę w wielu miejscach na Rusi) zastąpił.

Chatynki te grobowe, niskie, czarne, na wpół porozwałane i przegniłe, jak innym poleskim tak i temu smętarzowi, ocienionemu kilką sosnami staremi i wierzbami rosochatemi, nadawały oryginalną fizjognomję.

Była to wioska umarłych, obok wsi żywych stojąca. Hawnul jakby sobie po drodze to miejsce przypomniał, skierował się ku niemu, spojrzawszy tylko na Żuźła, który z konia zlazłszy, w ślad za nim dążył.

Oba razem wstąpili na piaszczyste wzgórze. od wieków służące wiosce za miejsce pogrzebu i zatrzymali się pod rozłożystym jałowcem, który w pośrodku czarne swe gałęzie szeroko po żółtej wydmię rozkładał. Hawnul obejrzał się w koło, jakby szukał czem ziemię poruszyć. a Żuźel zrozumiałwszy myśl jego, pobiegł po gałąź sosnową, która nieopodał leżała. Łatwo było rozgrzebać tę ziemię nie zsiadłą, nie związaną korzeniami roślin. bo prócz kilku krzaków piołunu i dziewanny, nic na niej nie rośło i Żuźel wykopał dół aż nadto wystarczający na pogrzebanie zwłok dziecięcia.

Ale o pół łokcia w głąb, gałąź stuknęła o coś, i z pod piasku obnażona zaświeciła czaszka trupia. Paweł krzyknął i porzucił robotę. Przez cały ciąg jej Hawnul

stał czuwając nad szczątkami dzieciny, z oczyma w nie wlepionemi. Głos towarzysza go obudził, spojrział w głąb, usta mu się skrzywiły i nie wyjmując kości, sam jął się w małym dołku układać nieforemne szczątki.

Ukląkł, pochylił się, zgiął, i jak matka układa w kołobce do snu ukochane dzieciątko, tak on z ostrożnością powoli rozszarpane członki zbliżał ku sobie, na niękim składając je piasku. Potem rękami zsunął na ciało otaczającą ziemię i rozogniony począł gromadzić dokoła jak mógł zasięgnąć piasek, kamyki, gałązki. co znalazł pod ręką.

Żużel pomagał mu bojaźliwie i w kilka chwil usypali mogiłę dziecięciu pod starym jałowcem, ale Hawnulowi dosyć na tem nie było. Napróżno chciał go od tej roboty oderwać ekonom. nie było sposobu, zdawał się nie rozumieć, nie słyszeć, nie widzieć nic, oprócz piasku, który połamami nosił. nasypywał, ubijał, coraz większy gromadząc usyp.

To dziwne, gorączkowe zajęcie trwało już godzin kilka. Ekonom kręcił się z nim razem i coraz to słówko wrzucił nieznacznie o powrocie do domu, ale Hawnul coś się gniewać nie umiał i słyszeć też nie chciał. Jak bezduszna machina pracował coraz to żywiej. coraz bezprzysiężniej się rzucając.

Żużel wydołać mu już nie mógł, pot lał się z niego strumieniem, siły go opuszczały i musiał oddaliwszy się trochę, sparty o drzewo, wypocząć. Ale oczy jego wciąż były skierowane na Hawnula, bez wytchnienia znoszącego jeszcze piasek, bierwiona, szyszki sosnowe i kamyki.

Już słońce miało się ku zachodowi, a Hawnul nie poprzestawał jeszcze. Żużel odważył się prawie gwałtem

oderwać go i za rękę pochwyciwszy, nie bez strachu, zawrócił go ku domowi. Sumienie kazało mu się na to odważyć, choć znając siłę i popędliwość pana, obawiał się, by go w miejscu nie ubił.

Ale Hawnul tak był widać znużony, tak nieprzytomny, że gdy go Paweł pochwycił, zatoczył się tylko, krzyknął i upadł twarzą na ziemię bez czucia.

Opodał przechodzili właśnie ludzie z pól wracający, a Żużel widząc, że sam sobie rady nie da, dosiadł konia i choć z wielką biedą i nie bez pomocy kańczuka, zmusił ich, żeby mu pomogli odnieść Hawnula do domu.

Wzięli go jak martwego na ramiona, i tak powoli się mieniając, dodźwigali do Krasnego. Żużel posłał po doktora, a sam nie odstępując chorego, usiadł przy jego łóżku. Życie zatamowane powróciło mu jeszcze, ale umysł zdawał się obłąkany, oczy nie widziały, uszy nie słyszały, usta nie otwarły się jednym wyrazem, jednym westchnieniem. Dano znać pani, która ledwie się zwlokłszy z łóżka, przyszła, siadła przy nim i słowa także nie rzekłszy, rzewnie płakać zaczęła. Żużel, który jej prawie nie znał, bo rzadko i krótko ją widywał, postrzegł jednak łatwo, że we łzach jej więcej było żalu nad sobą samą, niż niepokoju o męża. Zdawała się na tem stanowisku raczej z obowiązku, z konieczności, niż z potrzeby serca.

Chory dyszał, leżał długo nieruchomy i aż po północy powieki mu się skleiły i usnął snem głębokim. Doktora nie było i nie było. Wprawdzie do miasteczka było półtorej mili czy więcej po brodach i korzeniach, ale gdyby go znaleziono, mógł choć z północy przyjechać, a nad świtaniem jeszcze go nie było. Jak tylko

Hawnul usnął, pani odeszła do swojej izby, Żużel sam jeden pozostał przy chorym, świeca paliła się na zapiecku, a cisza panowała w całym domu, dotkniętym ręką Bożą.

Choć z początku strach go przechodził jakiś, już i Pawłowi w końcu oczy się zmrużać poczynąły, gdy go lekki szelest przebudził; otworzył powieki i postrzegł Hawnulę, który na łóżku siedział wyprostowany, oczy jego jak w tęczę wlepione były w otwarte drzwi od pierwszej izby, czarne i puste.

O mało nie krzyknął zrazu, dosłyszawszy głos Hawnulę, który zdawał się z kimś rozmawiać. Z piersi chorego dobywał się straszny jakiś, jakby z grobu pochodzący jęk przeciągły, który żadnego nie miał podobieństwa do zwykłego jego głosu.

— Czego ty chcesz Polikarpie? — mówił — czego? mogiłę zasypię... no! i krzyż ci na niej postawię... i mszę odprawić każę... idź! idź... pomściłeś się już dosyć!

Zatrzymał się i znowu mówić zaczął, zwracając oczy w drugą stronę:

— A! to ty! z krwawą piersią? to ty! O! ty mi nie darujesz... no! to szarp piersi moje... rwij je i napij się krwi mojej... ale niekaż za mnie pokutować niewinnym!...

Znów umilkł i znowu po przestanku się odezwał:

— I ty tu siwowłoso? i ty mi pokazujesz piersi wyschłe i wypłakane oczy, toś i ty mnie nie przebaczył... przyłączyłeś się do prześladowców moich.

— A i jeszcze jedna, — dodał wstrząsając się... — to matka! o matka! biada mi biada!... staje za dziecko swoje!

Głos jego zmieszał się z łkaniem. Żużel który się modlił i drżał jak liść, wytrzymać dłużej nie mógł i krzyknął na wartownika, śpiącego w bobówce... Oba razem prawie przybiegli do łóżka. Zastali Hawnulę wyprężonego, z oczyma otwartemi, i powoli go jakoś na poduszkę złożyć potrafil.

Zaraz potem jakby paroksyzm choroby się przesilił, powieki się zsunęły i sen znowu nadszedł głęboki, a tu już przez serduszek okienic świtać poczynąło.

Doktor, który dopiero około siódmej nadjechał, zastał go jeszcze w tym śnie pogrążonego i rozbudzać go nie kazał. Do południa ani się ruszył Hawnul i zegar bijący dwunastą, dopiero z łóżka go dźwignął. Ale na podziw wszystkim wstał przytomny, zdrów, trochę tylko znużony, wcale nie pamiętając co się z nim wczoraj działo.

Nie rozumiał po co wezwano lekarza, i przypominał sobie niewyraźnie że osłabł był siedząc przy piecu... O dziecięciu, o mogile, ani słowa. Twarz jednak wielce była zmieniona, policzki wpadłe, oczy czarnem obwiedzione, usta spalone, a na nogach chwiał się z początku. Powoli jednak rozeszło się to jakby resztki pochmielu i Hawnul odprawivszy doktora, pozbywszy się Żużla, na którego pogderał, odpędziwszy ludzi, pozamykawszy drzwi, poszedł do żony.

Parę dni minęły pospolitym trybem, ale Żużel nastrozony ostatniemi wypadkami, poczynął się niepokoić o przyszłość, i choć go ujął datek, choć litował się nad Hawnulem, ledwie już dotrzymywał w Krasnem miejsca, tak się tu czuł w atmosferze jakichś zjawisk nadprzyrodzonych, i jakichś wypadków nadzwyczajnych. Co krok coś go spotykało nieszczęśliwego, co dzień trafiał się

jakiś przypadek, jakaś szkoda. Największa pilność, ostrożność i gorliwość zapobiedz im nie mogły.

Posypało się to nagle jak z rękawa jedno po drugim. W tydzień po opisanych wypadkach, wieczorem zapaliły się gumna i nim z ratunkiem dobiegli ochoczy ludzie, spłonęło wszystko przy ogromnym wietrze, który się zerwał jak naumyślnie: stodoły, szpichlerze, zapasy zboża, wełny, żelaziwa, słowem co dom ma szlachecki, nieżyjący z jutrem i nie goniący za groszem. Kiedy się pierwsze płomień ukazało po za dachem folwarku, Hawnul wyszedł z izby na gauek, popatrzył, siadł na ławie, załamał ręce i oczów nie odwracając od łuny pożaru, przesiedział tak niemal noc całą, dopóki czerwone brzański i sine dymy wznosiły się nad pogorzelskiem.

Ale nie rzekł ani słowa, nie dopytywał o przyczynę ognia, nie bolał widocznie na tę klęskę i zniósł ją do zadziwienia po chrześcijańsku.

Dziwna rzecz choć gromada niezbyt się opóźniła, a batóg Pawła Żuźła ochoty jej napędził do pospiesznego ratunku, choć sadzawka była blisko, wodę lano, przerywano szerzeniu się płomieni i nic nie skutkowało.

Wiatru nie było w początku, potem zrywać się począł chwilami gwałtowny, jakby nim kierowała naumyślna niewidzialna ręka, by snopki rozżarzone na miejsca niedotknięte plagą przenosić. Ani spostrzeżono jak spaliło się gumno, jak zapalił się lamus, jak obory i stajnie z przyczółków smalić się poczęły. A gdy przyszło wypędzać dobytek, rycząc w płomienie powracało bydło i konie, tak że ani zboża, ani chudoby, ani sprzętu wyratować nie było podobna.

Wkrótce potem wylew wody pozrywał groble, po-

znosił młyny, pozamulał sianozęcia i część pól niżej położonych, zatopił zasiewy. Przyszedł pomorek po resztę bydła, i jakieś licho na konie, że im tylko gardła puchły i jakby je co dusiło ginęły, choć do nich cygana konowała doskonałego o mil dziesięć sprowadzono.

Hawnul od śmierci dziecięcia, już się o tem wszystkim dowiadywał, nieokazując najmniejszego uczucia, zimny, zobojętniały, nie umiejac się gniewać. Żułel rządził na tych niedobitkach gospodarstwa jak chciał i słowa mu pan nie powiedział, bo się w nie wdawać nie myślał i raportów słuchać się wzdrygał.

Życie jego stawało się coraz bardziej niepojętem, z żoną nawet był coraz mniej i rzadziej. a najczęściej jak nsiadł machinalnie z rana pod piecem, tak w tem miejscu gdyby posąg przetrwał do nocy, nie czując w sobie żadnej chęci do pracy, do zmiany miejsca, do widoku ludzi... do niczego.

Żona większą część tego czasu przeleżała w łóżku, bo jej zdrowie wielce w ostatnich czasach podupadło, a gdy sama się modlić nie mogła, to jej szlachciana, którą miała w usługach, czytywała z książki różne modlitwy, a ta je za nią powtarzała półgłosem. Czasem wszedł Hawnul. Spytał się o co, postął naprzeciw łóżka, popatrzał, i odprawiony kwaśnym głosem lub milczeniem, wynosił się zaraz do drngiej izby, na wiekuiste swe rozmyślanie. Niekiedy w nocy z pokoju chorej słyszano rozmowę, ale ta coraz była rzadszą i zwykle wybuchem jęków i płaczem żony się kończyła. Hawnulowa mimo bab, znachorek, ziół, kąpieli, nakadzeń i najrozmaitszych leków coraz była gorzej i gorzej. Z pięknej na podziw niewiasty skielet się zrobił wyżółkły, chudy, straszny resztką piękności niedogasłej i wyrazem jakiejś

pałacej rozpaczy. Kobiety wiejskie które się na chorobach znają instynktowo... widziały już, że Hawnulowa żyć nie będzie, mąż jakby tego nie rozumiał zawsze się zdawał oczekiwać rychło li z łóżka powstanie. Nareszcie jednego dnia, nieco oprzytomniwszy, zajrzał do sypialni i wpatrzywszy się w chorą, przeląkł się jej stanu, jakby pierwszy raz uderzył jego oczy... przeląkł się i natychmiast wysłał po lekarza.

Stary, niegdyś kreisfyzyk Dawid Herzig, którego znaleziono nierychło, gdy go wprowadzono do izby, gdy pulsa i język zobaczył, pokiwał głową i dobywszy tabakerki, wyciągnął męża do pierwszego pokoju.

— A pocóżście tu mnie przyprowadzili? — zapytał łamanym językiem.

Hawnul spojrzał nań, nie wiedząc co odpowiedzieć.

— Po księdza było posłać, nie po mnie! — dodał grubijańsko ruszając ramionami... a to ona za kilka godzin skona! to to jest! to to jest i skona! A wy dopiero wołacie fizyka, kiedy chory stygnie... głupie Polaki! Po co tu fizyk, po co medyk! jak ją baby zakurowały... To to jest!

I zażył spokojnie tabaki.

— Co waćpan mówisz? — krzyknął Hawnul — czyż by ona miała być tak źle!

— A ha! dopiero pyta głupi Polak! a ona za kilka godzin *caput*... — rzekł fizyk siadając i ocierając pot z czoła... — to jest pewniejsza niż my jutro żyć będziemy.

— I nie ma ratunku? — załamał ręce Hawnul.

— Żadnego! *caput*! — chłodno wybąknął Niemiec — zapóźno! *caput*! posyłajcie po księdza!

— Tak młoda! tyle siły!

— Można przedłużyć konanie, ale nie powrócić życie... na to nie ma sposobu.

Hawnul zachwiał się, krew widocznie uderzyła mu do głowy i atak był tak silny, że jak długi padł na ziemię. Niemiec się porwał, ludzie nadbiegli, znalazł się i Paweł Żużel, zanieśli go na łóżko, poczęto trzeźwić, musiano mu nawet krwi upuścić, ale zaledwie oprzytomniał, wyrwał się im i do łóżka chorej, drzwi za sobą zatraskując poleciał. Żużel obawiając się o niego, pobiegł za nim i mimowolnie świadkiem był sceny która głęboko wraziła się w pamięć jego.

W pokoju, którego jedno przysłonione okno nie wielką ilość światła przepuszczało przez gęstą firankę, leżała chora Hawnulowa. Twarz jej bladą zaledwie wśród bielizny rozeznąć było można, dwoje tylko brwi czarnych i czarnego warkocza pasmo wskazywały zdaleka gdzie spoczywała jej głowa. Chora już nawet modlitw odmawiać nie mogła, zdawała się usypiać, gdy wszedł Hawnul i zbliżył się do łóża z wyrazem rozpacz, z załamaniem rękoma.

Chociaż go nie postrzegła bo oczy miała zamknięte, wstrząsła się i porwała o swoich siłach umierająca, otworzyła powieki, poznała męża a przez chwilę milczenia straszego mierzyli się jak zapaśnicy wzrokiem, który miał wyraz błagalny w oczach Hawnula, a pełen był srogich wyrzutów od żony.

— Księdza! na Boga! księdza! — wyjąknęła wreszcie Hawnulowa — niech z duszą skalaną nie idę na sąd Najwyższego... księdza! by mi przebaczenie ogłosił, bym się przed nim oczyścić mogła, godzina się zbliża...

— Posłałem po niego! — rzekł mąż z cicha — uspokój się... na Boga, spocznij.

— Nie! dla mnie nie ma spokoju, — ozwał się głos coraz silniejszy i nabierający energii — ani dla ciebie Samuelu! Bóg cię dotyka mściwą ręką, boś nic Bożego nie poszanował na świecie. Wierzyłeś w chytrość i zdradę... giniesz od mocy której ani podejść, ani złamać już nie potrafisz. Patrz! jam jedna z ofiar twoich! Jam dziś sama, u łoża wzgardzonej nędznicy ani ojca, ani matki, ani przyjaciela, ani kapłana, jeden tylko żywy wyrzut, żywe przypomnienie zbrodni. Ciebie gorszy jeszcze koniec czeka! A! nie chcę ust kalać gniewem i wołaniem o zemstę, gdy wszystko przebaczyć potrzeba, ale miecz wisi nad twoją głową... Ja wiem wszystko... jam we śnie widziała czego niczyje oko nie widziało na jawie. Tyś zbójca! gwałciciel grobów, zbójca uie raz jeden... podwójny... potrzykroć zbójca... Tyś i mnie zabił Hawnul... czas pokutować, czas się ukorzyć, bo piekło cię czeka.

Hawnul stał milczący i nieruchomy.

— Kobieto, — rzekł po chwili — marzysz... upamiętaj się.

— Nie, nie marzę — odparła śmieiej. — Bóg mi dozwolił oglądać, czego nikt prócz Niego nie widział... Przed oczyma mojami rozryta mogiła... i ten sąsiad nienawistny. Widzę cię jeszcze w ubraniu chłopskiem przekradającego się przez krzaki, mierzącego w plecy bezbronnego nieprzyjaciela... słyszę krzyk, widzę śmierć... Ty uciekasz przez zarośla i błota... niewinni ludzie cierpią za ciebie... sierota wzywa pomsty Boga.

Hawnulowi włos najeżył się na skroni, zachwiał się i pokląkł.

— Żywi i umarli wołają o pomstę nad tobą Hawnulu, — mówiła dalej żona. — Jeszcze chwila a przyjdzie jak piorun z hańbą, z upodleniem... Kój się, żałuj, bij w piersi, a może moja modlitwa litości dla ciebie uprosi...

Gdy to mówiła jeszcze, dzwonek się dał słyszeć w przyległej komnacie i ksiądz unita, po którego do bliskiej posłano parafji, wszedł z przenajświętszym Sakramentem. Chora otulając się prześcieradłami zsunęła z łóżka i klękała jak pokutnica, a Hawnul usunął się tylko, pełznąc na kolanach i czołem o ziemię uderzył. Kilku ludzi weszło, niosąc zapalone świece.

Potrzeba wszystkim oddalić się było, aby chora spowiedź odbyć mogła, ale gdy przyszło Hawnula odciągnąć, musiano go gwałtem prawie dźwignąć i wynieść z pokoju.

Twarz jego tak była strasznie zmieniona że na nią bez wewnętrznego wzruszenia spojrzeć było niepodobna, nie mówił nic, oczyma tylko przewracał, a usta sine jak w chorobie pianą mu się okrywały. Znać jednak wielka w nim zaszła zmiana, bo się bił w piersi ze skruczą i kiedy niekiedy łza wycisnęła się z powiek, po suchych spływając policzkach, jak wielka deszczu kropla, co zapowiada nadchodzącą burzę.

Po ukończeniu spowiedzi, chora ledwie miała czas przyjąć ostatnie pomazanie. Łzy ją porwały, jęk jakiś, złożyła ręce i w konwulsjach wołając ratunku skończyła...

Hawnul na dźwięk tego głosu znanego przybiegł do łóża, chwycił ją w pół obłąkany, ale miasto utulić, zgon tylko przyspieszył, bo chora odpychając go ze wstrętem,

w ostatnim tym wysiłku, ducha oddała. Od zastygłej ledwie go oderwano, a gdy na twarz jej spojrzawszy zgonu piętno zobaczył, wytłoczone na pięknej twarzy męczenniczki, obficie lzy mu się rzuciły, które wprzód wytrysnąć nie mogły i pokłakłszy, zawołał księdza i ludzi.

Obok łoża umarłej, wśród zbiegowiska czeladzi, która zewsząd spieszyła, przy kapłanie i obcych, nagle Hawnul głos podniósł i zdrewniałym z podziwienia oznajmił, że publicznie chce wyznać wielką tajemnicę, która sumienie jego obciąża.

Widok to był straszliwy, gdy na klęczkach przed siwym staruszkiem, z dumnego zuchwalca nagle ukończony grzesznik, począł spowiedź z życia, pełnego bezbożności i występków.

Obwiniął się o liczne zbrodnie, o gwałtowne żony porwanie, o bezecne postępowanie z jej rodzicami, o pogwałcenie klasztoru, o świętokradzkie śluby, o przeniewierstwa i zdrady; a gdy przyszło do ostatnich lat życia w tych słowach zeznał winę, o którą go nikt z obecnych posądzić nawet nie śmiał.

— Widzicie we mnie, — rzekł na ostatek, — zabójcę Stefana Wilczury! Oto sam, dobrowolnie zeznaję żem go zdradą zabił i wydaję się w ręce wasze, duszę moją polecając miłosierdziu Bożemu, ciało zdaję sprawiedliwości ludzkiej. Odstawcie mnie do sądu, niech sąd i miecz ukarzą aby Bóg mógł przebaczyć! Krew za krew, życie za życie!

Położenie kapłana i obecnych było nadzwyczajne, nie wiedzieli jak sobie począć, czy go słuchać i wierzyć mu, czy to wszystko wziąć za szal i gorączkę, ale

doktor ulakłszy się tragedji, siadł na kałamaszkę i z historją tą pierwszy poleciał do miasteczka. Ledwie z wózka zsiadłszy, pobiegł zaraz z relacją do podsędka, podsędek posłał po Turzona, po znajdujących się w miasteczku przyjaciół Wilczury i co żyło zbiegło się natychmiast słuchać, podziwiając palec Boży w tej sprawie. Uradzono zgodnie jechać na miejsce i w skutek publicznego wyznania uwiezić naprzód winowajcę, aby oprzytomniawszy i rozmyśliwszy się nie uciekł.

Pomimo pospiechu i ponaglań Turzona, kierującego tą wyprawą, nim się urząd dowiedział, nim środki obmyślano, nim się komenderowani wybrali, połowa dnia upłynęła i wieczór już był, gdy na żydowskich brykach dopadli sądowi do dworu w Krasnem.

Tu już w pierwszej izbie na katafalku spoczywało ostawione świecami ciało nieboszczki, przy niem siedziały kilka bab i djacek odspiewujący modlitwy, a w nogach tapczanu leżał krzyżem Hawnul, ze związanemi grubym sznurem rękami, sam się bowiem sługom swoim skrzepować kazał na znak winy i pokuty.

Przybyli pokłękli, pomodlili się u ciała, ale zaledwie wieczny odpoczynek odmówić potrafili, Hawnul który ze szmeru i ruchu przybycia ich się domyślił, zerwał się na nogi i głosem wykrzyknął :

— Oto mnie macie! jestem zabójca Stefana Wilczury! Sam wydaję się w ręce wasze, Bóg dotknął twarde i grzeszne serce moje, bierzcie i karzcie mnie abym duszę ocalił. Śmierci proszę, śmierci żądam chrześcijańskiej! Nie folgujcie mi i weźcie nienawistne życie.

Najzajadlejszych nieprzyjaciół tak przeniknął ten głos dochodzący ich od katafalku, że już nie mieli serca

więcej się znęcać nad nieszczęśliwym: umilkli, czując się wzruszeni litością.

— Tak! — dodał Hawnul przerywając uroczyste milczenie. — Jam zabójca Wilczury, zabójca żony i dziecięcia. Jam występny, jam zbrodzień, bierzcie mnie i wydajcie katowi jakom zasłużył, drzyjcie pasy ze mnie, utnijcie głowę toporem. O jedną tylko proszę łaskę choć i tej nie jestem godzien. Niech związany i skuty jak zbrodniarz pójdę jeszcze to drogie i niewinne ciało odprowadzić na miejsce wiecznego spoczynku.

Nikt się do niego nie odezwał. Po chwili pachołkowie sądowi ujęli dobrowolnie się im zdającego wiuowającę. Pogrzebem i całym obchodem sam już się Żużel zatrudniał, który jak powiada, mało nie oszalał wśród tych wypadków, tracąc głowę, przytomność i siły. Hawnula tymczasem w izbie strzeżonej zamknięto a ciało naza-jutrz sprawiono pogrzeb przystojny.

Ogromna moc ludu z miasteczka i wsi sąsiednich zbiegła się nań, zwabiona odgłosem dziwnych zeznań dziedzica Krasnego, powiększonych trójnasób przez ciekawych co ją powtarzali. Urzędnicy, duchowieństwo sproszone, sąsiedzi, wieśniacy szli długą za wozem żałobnym procesją, a tuż za trumną z zakutemi żelaznym łańcuchem rękami, z obnażoną głową, w prostej sukmanie, wedle własnego życzenia, szedł zabójca, otoczony pachołkami.

Nad mogiłą upadł biedny pod ciężarem rozpacz i boleści, tak że go na rękach ztamtąd wynieść i na wóz włożywszy, wprost do więzienia odwieźć musiano.

Dwór w Krasnem opustoszał od tej chwili. W miasteczku odegrały się ostatnie sceny tego dramatu, przed zgromadzonym sądem zeznał zabójca winę swoją publi-

cznie i na gardło osądzony został. Nie pozwolił w sprawie swojej stawać żadnemu obrońcy i wyrok przyjął z pokorą na klęczkach.

— Do wyroku tego, — rzekł po chwili namysłu, — jeśli mi wolno jedno mej woli rozporządzenie dodać, uczynicie sędziowie jako was błaga skazany. Spełni się nademną sprawiedliwość, przykładem będę dla zatwardziałych, ale pamięć krótka. Chcę bym pokutował po zgonie i nie leżał na święconej ziemi wśród zmarłych, których spoczynek zgwałciłem. Niegodzien jestem mogiły. Niech ciało moje nie pogrzebione stoi pół wieku na oczach tych których życie moje zgorszyło, i przypomina im pomstę Bożą.

Wykonało się to życzenie Hawnula, gdyż po spełnieniu nad nim wyroku przez kata i ścięcie na podwórzu przy szlacheckiej wieży, w miejscu które dotąd ukazują, ciało w trumnie złożone zostało i odprowadzone naprzód do kapliczki smętarzowej, potem do umyślnie na ten cel wzniesionej w ogrodzie dworskim, gdzie jeszcze je po upływie lat kilkudziesięciu oglądał.

Takie było opowiadanie Żuźla, który przypomnieniem smutnych wypadków swojego życia znużył się i do łez rozczulił. Nie chciałem go już o nic więcej rozpytywać, widząc że nieborak ledwie się mógł dobić do końca, opisując ostatek tych strasznych przygód przybylca, a po którym już nawet w okolicy imię nie zostało, a historia jego przerobiła się w cudowności pełną legendę.

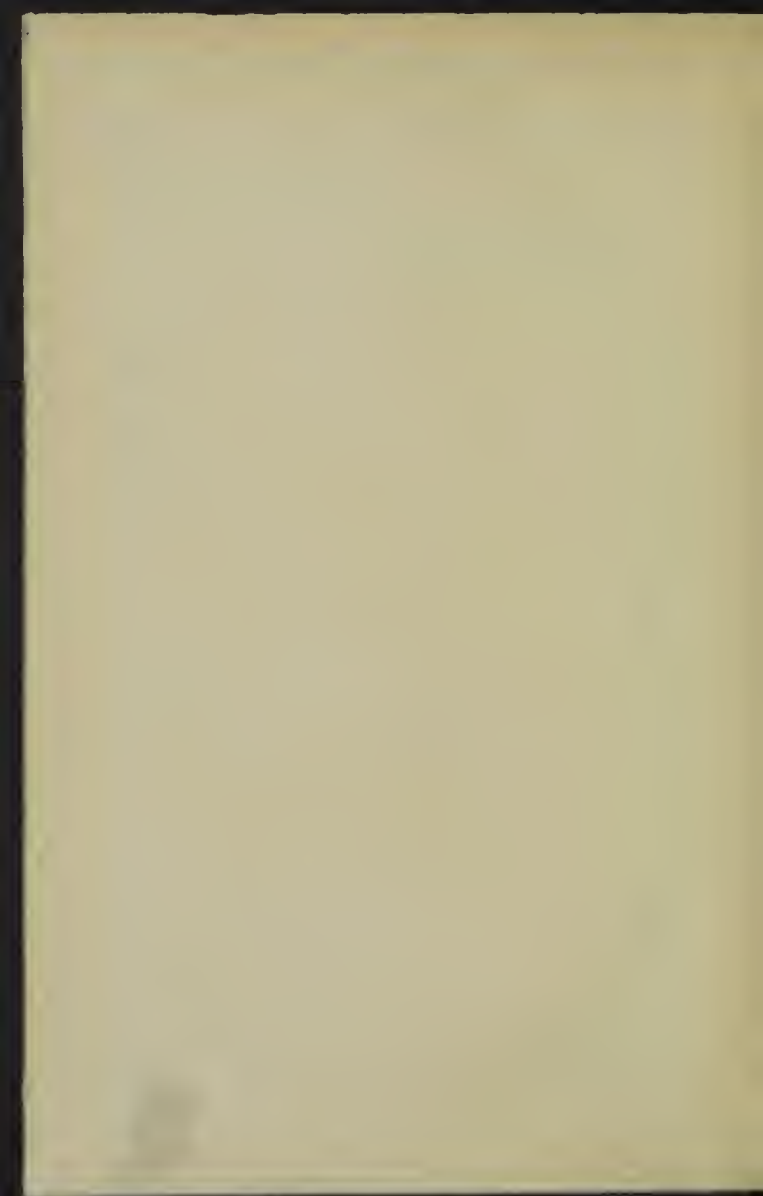
Odeszliśmy od osamotniałego dworu, ku karczmie, gdzie właśnie cymbały i skrzypki zapowiadały wesele wieśniacze. Widok jego trochę mi smutne myśli rozpedził. Żuźel także rozochocił się, bo go podpoili starostowie i drużby, a ja nie wyspany i rozmarzony po snach ciężkich, w których mieszało się śmierć i wesele, jęki i tany, pieśni i narzekania, nazajutrz do dnia w dalszą ruszyłem drogę.

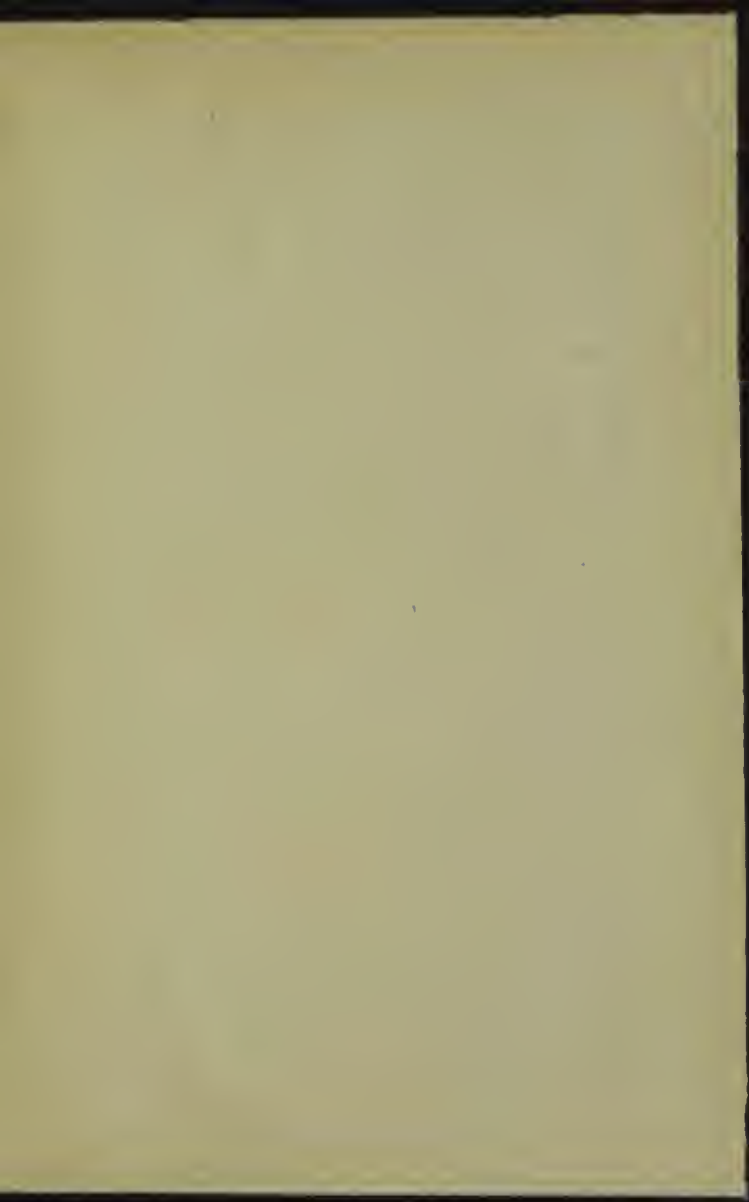
K O N I E C.

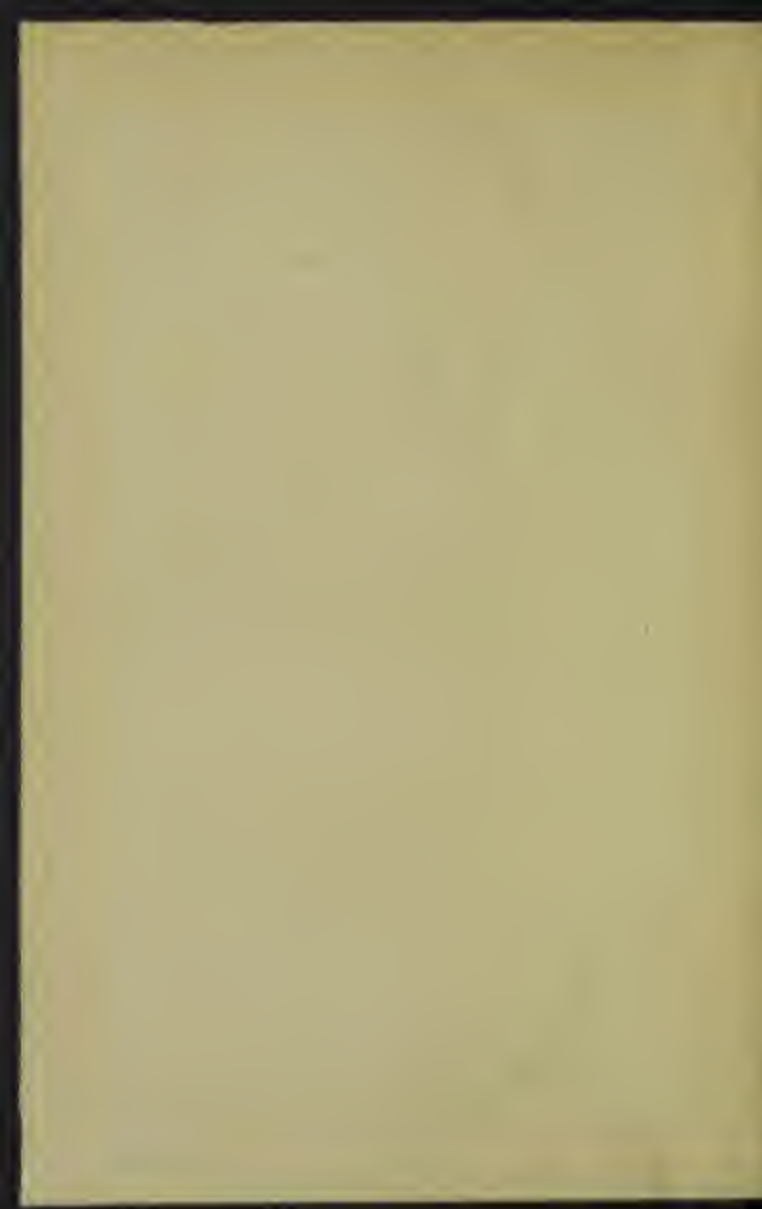












KSIĘGARNIA
ANTYKWARIAT



C 502265

Biblioteka Raczyńskich

JK 1997



JK1997